

JAN KWAPIŃSKI

**ORGANIZACJA BOJOWA
KATORGA—REWOLUCJA ROSYJSKA**

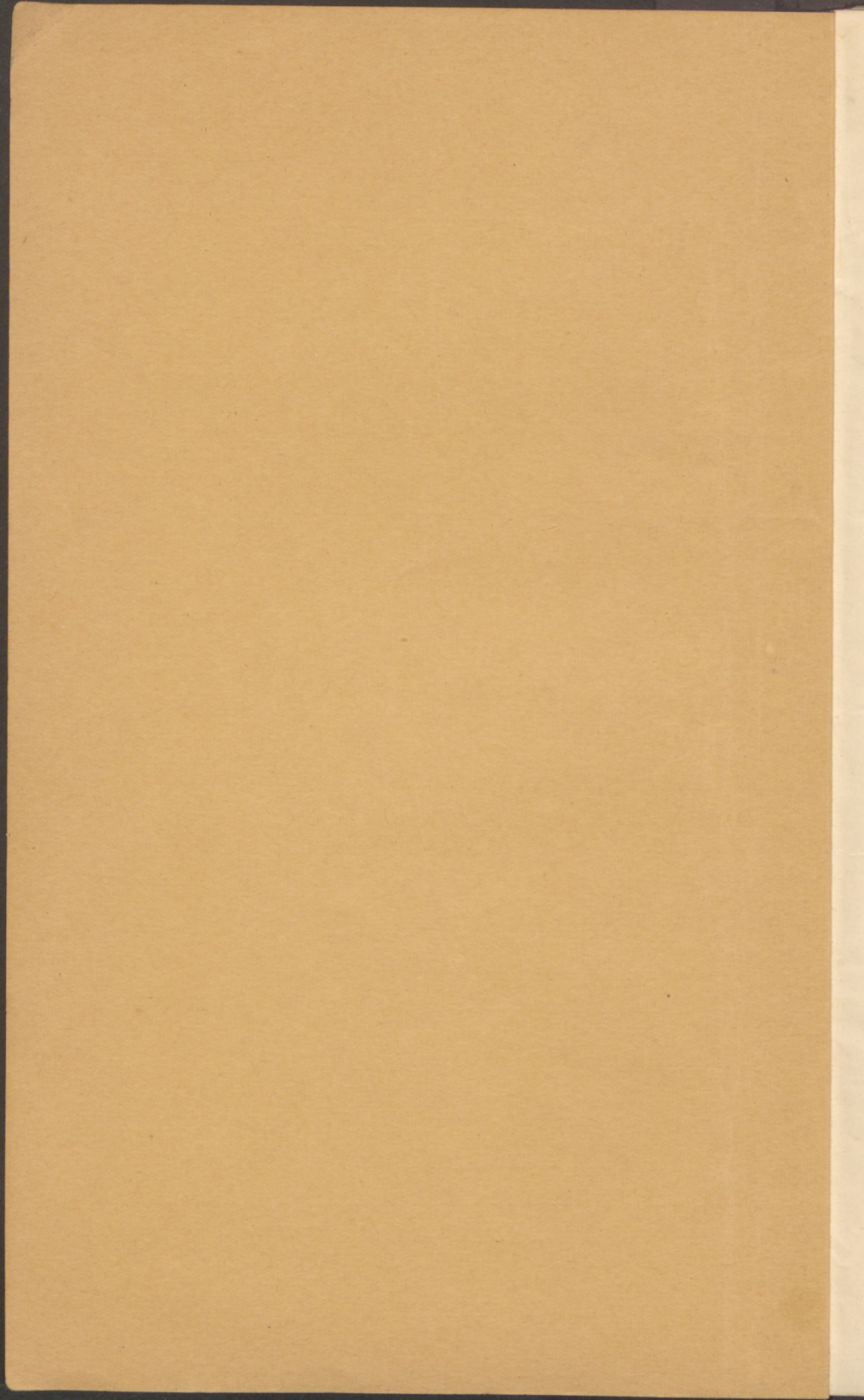
Z MOICH WSPOMNIŃ

1904—1919

Z PRZEDMOWĄ IGNACEGO DASZYŃSKIEGO

WYDANIE II

**NAKŁADEM
KOMITETU ZAGRANICZNEGO P.P.S. W LONDYNIE
LONDYN — 1943**



JAN KWAPIŃSKI

ORGANIZACJA BOJOWA
KATORGA—REWOLUCJA ROSYJSKA

Z MOICH WSPOMNIENÍ

1904—1919

Z PRZEDMOWĄ IGNACEGO DASZYŃSKIEGO

WYDANIE II

NAKŁADEM
KOMITETU ZAGRANICZNEGO P.P.S. W LONDYNIE
LONDYN — 1943



1378303

OD WYDAWCÓW.

Wspomnienia Jana Kwapińskiego z lat 1904–1919 z okresu walk rewolucyjnych w Polsce i pobytu w Rosji, na katordze i w pierwszych dwóch latach rewolucji, napisane zostały na prośbę towarzyszy w 1927 r. Ukazywały się w odcinkach "Robotnika," a potem ogłosiła je drukarnia "Księgarnia Robotnicza" p.t. "Organizacja bojowa — Katorga — Rewolucja Rosyjska."

Egzemplarz tych wspomnień znalazł się w Londynie. Komitet Zagraniczny P.P.S. postanowił ogłosić drukiem drugie ich wydanie z okazji 50-lecia założenia P. P. S. jako jeden z przyczynków do historii naszej pracy i walki.

Oddajemy je do rąk czytelnika polskiego na obczyźnie prawie bez zmian i przeróbek. Autor dodał jedynie obszerniejszy opis akcji bojowej pod Rogowem.

Wspomnienia te niewątpliwie nasuną porównania i analogie do sytuacji dzisiejszej. Jakkolwiek piękne były karty naszej walki z caratem, jakkolwiek bohaterskie czyny bojowców z P.P.S., jakkolwiek okrutne prześladowania carskich zbirów, jakkolwiek bolesne męki rewolucjonistów, nie ma porównania z tym, co Kraj przeżywa dzisiaj, tak okrutny jest terror dziś, tak dotkliwa jest męka.

Walka rewolucjonistów onych lat wydawała się beznadziejną. Polska przez półtora prawie wieku była skreślona z mapy Europy, a jej żołnierzy, rewolucyjnych jak powiada Ignacy Daszyński w swojej przedmowie "nie chciał kraj uspokojony po 1863 r., bał się ich i przeklinał."

Dziś w innych walczyliśmy warunkach, — jako państwo sprzymierzone z największymi potęgami świata, jako jeden z Narodów Zjednoczonych. Żołnierz nasz, przez swoich i przez obcych uznany i ceniony, bierze udział w wojnie na wszystkich frontach, na lądzie, na morzu i w powietrzu.

A tam w Kraju, na froncie najniebezpieczniejszym, zмага się z nieprzyjacielem wielka armia żołnierzy oporu i wytrwania, którzy swoim poświęceniem, ofiarnością i bohaterstwem zapisuje karty równie piękne i wzniosłe, jak żołnierze rewolucji lat dawnych.

Wspominając walki przeszłości — składamy hołd bojownikom dnia dzisiejszego.

KILKA SŁÓW PRZEDMOWY

Kto chce zrozumieć charakter Polskiej Partji Socjalistycznej ten niechaj czyta tego rodzaju wspomnienia, jak te, które wyszły z pod pióra tow. Jana Kwapińskiego.

Niema socjalistycznej partji w Europie, któraby miała dzieje podobne do P. P. S., jak nie miał socjalizm nigdzie na świecie tak strasznych warunków państwowych, jak w Polsce pod zaborem carskim.

Chcąc żyć, musiał socjalizm prowadzić walkę zbrojną z zaborczym państwem. Z aparatem państwa XX wieku! Z armją 200.000 żołnierzy, z administracją, policją, żandarmerją uzbrojoną we wszystkie nowoczesne sposoby "rządzenia", czyli uciskania ujarzmionej ludności.

Odcinek tej walki małuje barwnie leżąca przedemną książka, napisana przez "żołnierza rewolucji", dosłownie żołnierza, a nie żadnego wodza. Dzięki takim żołnierzom, fanatycznie oddanym sprawie wyzwolenia Polski i ludu polskiego z niewoli, stała się P. P. S. "niepokonaną potęgą", jak mówił prokurator rosyjski Żyżyn . . .

Ale jacyż to dziwni byli "żołnierze"! Nie chciał ich kraj "uspokojony" po 1863 roku, bał się ich i przeklinał; nie mieli odznak żołnierskich, broń musieli kryć przed okiem szpiegów carskich i prowokatorów, a czekała ich nie śmierć na polu bitwy, lecz skatowanie przez zbirów carskich, lub — sąd wojenny i szubienica . . . W najlepszym razie straszna rosyjska katoga.

Jawna prasa polska rzuciła na ich groby ciężkie kamienie oszczerstwa i obelgi, a tylko w podziemiach rewolucji otaczano ich nazwisku — pseudonimy skromnym wieńcem chwały.

A przecież była to jedyna siła w narodzie, która z potęgą niepokonanego żywiołu dążyła do Niepodległej Ojczyzny! Dążyła do niej z całą świadomością, że bez zjednoczenia i wyzwolenia Polski nie ma co marzyć o nowoczesnym życiu, o rozwoju, o sile klasy robotniczej polskiej, rozbitej w zaborach na trzy odłamy, z konieczności słabe i niezdolne do wypełnienia historycznej misji proletariatu.

Ciężkie losy polskiego "żołnierza rewolucji" rzuciły go w piekło rosyjskiej katogi. Europejczyku, który przypadkiem będziesz czytał stronicę tej książeczki, poświęcone opisowi tego piekła . . . pochyl nisko głowę przed ludźmi — męczennikami i przed ideą która temu piekłu bój śmiertelny wydała! I zwyciężyła!

Była to idea polska i socjalistyczna.

Wyszła z walki Polski rewolucyjnej przeciw caratowi o niepodległość narodu, narodziła się w łonie uciemnionej podwójnie polskiej klasy robotniczej, szeregującej się pod sztandarem międzynarodowego Socjalizmu.

Pod koniec walki wytrzymała najcięższą próbę: nie utonęła w odmetach rewolucji rosyjskiej, oparła się jej i zmusiła ludzi do powrotu w granice Ojczyzny, aby wcielić się tutaj w nowoczesną walkę klasową prowadzoną w ustroju republikańsko - demokratycznym, odrzucając moskiewskie hasła dyktatury . . .

Książka tow. Kwapińskiego tchnie bezpośredniością i entuzjazmem. Znać w niej głębokie poczucie honoru walczącego bojowca, gotowego na śmierć w imię partji bojowej proletariatu polskiego, znać u niej . . . honor człowieka ofiarującego bez frazesu swoje życie za czystą ideę, którą — bez wojny światowej — może wnukom dopiero udałoby się urzeczywistnić i żywą zobaczyć, znać tę siłę moralną, tę teżyżnę, bez której nie byłoby P. P. S.

Polska młodzież robotnicza powinna rozczytywać się pilnie w owych wspomnieniach, pełnych męki i nieśmiertelnej chwały, bo dziś dopiero urzeczywistnić się mogą słowa poety

*. . . i będą nasze więzienia ciemne
miejszem odpustu Ludzkości . . .*

Odpustu z największego grzechu i maloduszności.

Ignacy Daszyński

OŻYWIENIE RUCHU REWOLUCYJNEGO

Wybuch wojny rosyjsko - japońskiej i mobilizacja roczników w Kongresówce spowodowały w środowiskach robotniczych ożywienie ruchu rewolucyjnego.

Pracowałem wówczas w Zakładach Ostrowieckich, w dużym skupieniu proletarjackim. Zainteresowanie wypadkami wojennymi, a w szczególności oporem przy mobilizacji było ogromne. Władze policyjno - administracyjne nie umiały przeciwdziałać agitacji Polskiej Partji Socjalistycznej.

Stoją dziś jeszcze przed oczyma, jak żywe, obrazy zajść na stacjach kolejowych, na odcinku Skarżyko - Ostrowiec. Pociągi, naładowane są zmobilizowanymi żołnierzami, rozbrzmiewają pieśni rewolucyjne, a z okien wagonów towarowych wyjeżdżający żołnierze wzywają czerwone sztandary.

Wśród szluchu niewiast grzmi bojowa pieśń proletariatu: "*Nadejdzie jednak dzień zapłaty, sędziami wówczas będziem my,*"

Carat na Dalekim Wschodzie został pogruchotany. Echo przegranej wojny, jak płomień, rozchodzi się po obszarach Rosji i krajów, podbitych przez carat.

Wybuch powstania w Moskwie spotęgował nastrój rewolucyjny i w naszej okolicy. Ówczesny C. K. R. w słynnej odezwie wzywa proletariąt polski do solidarności z powstaniem moskiewskim. Okręgi partyjne na wezwanie C. K. R. nie zareagowały. Jedynie *Okręg Radomski* wezwał podległe organizacje do rozpoczęcia powstania.

Pamiętam, jakie na mnie i na towarzyszach zrobiło wrażenie wezwanie do powstania. Byliśmy wówczas bardzo młodzi. Nie rozpatrywaliśmy z politycznego stanowiska apelu C. K. R. i Okręgu Radomskiego.

Na kółkowych konspiracyjnych zebraniach nauczyliśmy się nienawidzić całą duszą ucisku caratu, to też zapowiedź *walki orężnej* podziałała na nas, jak prąd elektryczny. Rozpoczęliśmy gorączkowe przygotowania do rewolucji. Na czele organizacji ostrowieckiej stał wówczas młody, pełen energii i temperamentu inżynier *Berner* (Emil).

Postanowiono opanować powiat przez zdemolowanie urzędzeń rządowych, oraz wybór "polskich" wójtów po gminach. Według przygotowanego planu, w noc listopadową wyruszyliśmy oddziałami w sile od 20 — 40 ludzi na "wojnę" z Rosją carską! Rodziny nasze pomagały nam w naszych zamiarach. Ruszyliśmy, według

opracowanej marszruty, na powiat. Na czele oddziałów stali zorganizowani bojowcy.

Oddział, w którym byłem, ruszył szosą w stronę Bodzechowa i Ćmielowa. W niespełną godzinę po wyjściu z Ostrowca doszliśmy do Bodzechowa, odległego o 4 kilometry. Tutaj cały szereg towarzyszy po raz pierwszy miał możliwość uczestniczenia "w powstaniu" przeciwko caratowi.

W Bodzechowie przyszliśmy do urzędu gminnego, zniszczyliśmy wszystkie portrety carów i ich rodzin, wyznaczaliśmy wójta "polskiego," który godność przyjął z pewnem wahaniem. . . .

Następnie udaliśmy się do sklepu monopolowego, zniszczyliśmy cały zapas wódki i spirytusu, rozbroiliśmy policjantów, a odebraną broń oddaliśmy nowozwerbowanym rewolucjonistom z Bodzechowa.

W ten sposób przeszliśmy przez całą noc ogromny szmat drogi, wróciliśmy dopiero na drugi dzień rano. Znużenia nie czuliśmy zupełnie podczas akcji, dopiero po powrocie do domu dało się we znaki ogromne przemęczenie. Ubrania nasze przesiąknięte były alkoholem z powodu rozbicia tej nocy kilkunastu sklepów z wódką.

W czasie naszej akcji inny oddział, na przestrzeni około 6 kilometrów, psuł urządzenia telegraficzne łamiąc słupy przydrożne.

W Ostrowcu na czoło ruchu wysunęła się P. P. S., która od 1900 roku prowadziła intensywną robotę organizacyjną pod kierunkiem tow. Wincentego Markowskiego.

Narodowa Demokracja jakkolwiek w Ostrowcu bardzo słaba, próbowała jednak organizować wiece "narodowo myślących rodaków," wysyłała petycje z tych wieców do cara, prosząc "Najjaśniejszego Pana" o nadanie Polsce autonomji. Esdeków wówczas w Ostrowcu nie mieliśmy.

Z dnia na dzień jednak impet ruchu rewolucyjnego tracił na sile. Carat złamał powstanie moskiewskie. Zdezorientowany Rząd odzyskał szybko równowagę po stłumieniu powstania moskiewskiego. Niebawem otrzymaliśmy z Radomia wiadomość, że na nasz powiat, a w szczególności na Ostrowiec i Ćmielów władze wojskowe wysyłają z Warszawy aż 3 pułki na "usmirenienie."

W niespełną tydzień na okolicę naszą nasłano pułki "gwardyjskie." W Skarżysku, Wierzbniku, po wkroczeniu gwardji, ogłoszono stan oblężenia, a wślad za tem rozpoczęły się masowe areszty. Najbardziejziej zajadle, z ogromnem okrucieństwem uprawiane orgie bicia aresztowanych działy się w Ostrowcu. Łapano często Bogu ducha winnych ludzi, kuto w kajdany, bito w straszliwy sposób, rzucano skutych na przygotowane wozy, odwoząc do powiatowego więzienia, odległego od Ostrowca o 18 kilometrów. Cały nasz "sztab" czas jakiś krył się w murach fabrycznych. Pomimo ogromnej masy żołdactwa, jakim siepacze carscy rozporządzali, nie odważyli się narazie wkroczyć do fabryki, w poszukiwaniu nas.

Sytuacja nasza była coraz groźniejsza, zmuszeni byliśmy w nocy wydostawać się przez parkany fabryki, by zniecka napadać na tych policjantów, którzy wślawili się okrucieństwami przy

masowych aresztach. Władze wojskowe, dowiedziawszy się o naszym przebywaniu w murach fabrycznych, groziły zbombardowaniem fabryki. Nie było innego wyjścia, trzeba było opuścić ukrycie i uciekać do lasów.

W grudniu 1905 roku ulokowaliśmy się w lasach księcia Druckiego - Lubeckiego. w mieszkaniu gajowego za Ćmielowem. Było nas w tem miejscu 8 czy 10 — dokładnie nie pamiętam. Niestety, długo nie mogliśmy przebywać w nowej kryjówce. Dano nam znać ze Ćmielowa, że sąsiedni nasz oddział, ukryty w lasach, napadł nocą na oddział kawalerji między Ćmielowem a Bodzechowem, wskutek czego ma być masowa oblawa w lesie. Tego samego dnia pod wieczór przybiegł zdyszany gospodarz kryjówki, u którego gościliśmy, z oznajmieniem, że widział znaczny oddział kawalerji, zaczajony w dołach w okolicach Ćmielowa. Nie pozostało nic innego, jak tej samej nocy przedzierać się przez lasy w stronę Zawichosta, by przedostać się na terytorjum Małopolski.

Pocziwy gospodarz nasz wysłał swoich synów na czaty, a nam kazał jeść; nie chciał w żaden sposób wypuścić nas głodnych. Mroźny wiatr dokuczał nam bardzo, ale nikt o tem nie myślał. Szliśmy rażno, prowadzeni przez towarzysza, który znał okolicę. Nad ranem oczom naszym ukazała się srebrna wstęga Wisły. Cały dzień spędziliśmy w chacie przemytnika, który wieczorem z innymi współnikami przeprowadził nas po krach łodu "zagranicę," na terytorjum, gdzie władza carów nie sięgała.

Podczas przejścia granicy stał żołnierz rosyjski, obok niego przywódca przemytników; obydwaj rachowali ilość uciekinierów, za każdego uciekiniera żołnierz otrzymywał pół rubla srebrem. Po przeliczeniu wszystkich, jeden z przemytników poprowadził nas do karczmy austriackiej.

Nazajutrz po południu wyjechaliśmy do Krakowa. Po przyjeździe do Krakowa, przyzwyczajeni do konspiracji, w hotelu podaliśmy inne nazwiska, niż na komorze celnej austriackiej, przez którą musieliśmy przechodzić. W rezultacie mieliśmy dość dużo przykrości ze strony tajnej policji austriackiej. Dzięki interwencji tow. *I. Daszyńskiego*, pozostawiono nas w spokoju.

Po trzech tygodniach przybył tow. Emil, który mnie zapoznał z ówczesnym "Ziukiem," a po rozmowie z Piłsudskim, wstąpiłem do szkoły bojowej.

SZKOŁA INSTRUKTORÓW ORGANIZACJI BOJOWEJ

Po 8-ym Kongresie Partji, który odbywał się we Lwowie, przystąpiono do tworzenia kadr Organizacji Bojowej przez wyszkolenie odpowiedniej ilości instruktorów. Szkolenie to rozpoczęło się od I-szej szkoły w Krakowie i Lwowie, na której był cały wydział Organizacji Bojowej P. P. S., z tow. Ziukiem (Piłsudskim) na czele.

Wstąpiłem na kursa do 3-ej szkoły. Uczestników było 18. Wychowanków instruktorskiej szkoły, tych pepesowych oficerów rewolucyjnej polskiej armji, rozmieszczono w trzech mieszkaniach, na ulicy Lubicz i Arjańskiej w Krakowie. Po rozlokowaniu przystąpiono do wykładów, poprzedzonych konferencją wstępną, na której Ziuk w ogólnych zarysach zobrazował położenie polityczne kraju i cel naszego szkolenia.

Profesorami naszymi byli: tow. Barnaba (późniejszy gen. Rozeń), tow. Paweł (Dąbkowski) i inni. Większość wykładów teoretycznych odbywała się przy pomocy manuskryptów. Barnaba poświęcał nam najwięcej czasu i wykladał na tematy: 1) armja rosyjska pod względem uzbrojenia i umundurowania, 2) musztra, 3) ćwiczenia z bronią krótką i długą, 4) znajomość systemów broni i ich psucia, 5) niszczenie telefonów, telegrafów i środków komunikacji, 6) ćwiczenia w rzucaniu pocisków ręcznych i t. p.

Paweł wykladał nam z dziedziny wszelakich materiałów wybuchowych. Poza tem ogromną uwagę zwracano na znajomość topografji. Wykładano nam również anatomję.

Ogólnie biorąc wykłady nasze i ich program dostosowane były do stosunkowo krótkiego czasu, jaki mieliśmy do dyspozycji, oraz do charakteru przyszłej naszej działalności bojowej. Inicjatorzy kursów bojowych wychodzili z teoretycznej przesłanki o tak zwanym "ubojowaniu klasy robotniczej" — wówczas mówiono o klasie robotniczej, jako awangardzie polskiej rewolucji. W kilka lat później stworzono inną teorię, ale o tem później.

Okres ten był dla mnie przełomowym, gdyż z terenu lokalnego wychodziłem, ja i inni towarzysze, na szeroki gościniec działalności rewolucyjnej z przygotowaniem teoretyczno-praktycznym.

Przeważająca większość wykładów, łącznie z nauką strzelania, odbywała się w Krakowie. Ćwiczenia w rzucaniu ręcznych pocisków oraz musztry o charakterze zbiorowym, odbywały się za rogatkami Lwowa.

O tow. Barnabie jeszcze dziś, choć stał on później zdala od pracy socjalistycznej, wspominam najchętniej, jako o człowieku bardzo dobrym i sympatycznym. Lubiliśmy wszyscy tow. Barnabę, jako naszego wykładowcę, był zawsze skromny i bardzo wyrozumiały.

Wychowankowie 3-ciej szkoły byli to w przeważnej większości młodzi robotnicy, nie też dziwnego, że nieraz trudno było sobie poradzić ze sprawami o charakterze czysto teoretycznym. Jeżeli mam mówić o sobie, jako o uczniu, to powiem, że nie lubiłem "wykuwać" na pamięć z rękopisów różnych "kwestyj". Natomiast z zamiłowaniem oddawałem się musztrze i ćwiczeniom bronią krótką i długą.

Nie chcę przez to powiedzieć, żebyśmy wogóle innych "kwestyj" nie znali, boby nas ścięto na egzaminach. Bardzo obszerne zastanawialiśmy się nad armją rosyjską, z którą w przyszłości mieliśmy się zetknąć. To też dokładnie musieliśmy wiedzieć, jak jest umundurowana armja rosyjska we wszystkich rodzajach broni. Szczególnie musieliśmy dobrze znać tak zwane szarże oficerskie.

albowiem przez odróżnienie szarży oficerskiej mogliśmy łatwo ustalić liczebność kwaterującego wojska w danej miejscowości. Bez tych znajomości nie podobna było wszczynać akcji bojowej.

Nauka musztry była stosunkowo dla wszystkich najłatwiejsza. Ćwiczenia odbywały się szóstkami. Na czele stał starszy, trzy szóstki stanowiły oddział z oddziałowym na czele. Ćwiczenia z bronią w sensie gruntownej znajomości składowych części karabinu, Mauzera i Browninga, oraz nauki strzelania, szły nam raźnie. Trudniej było z rękopisów studjować kulomioty i wszelkiego typu armaty. Tu główny nacisk kładziono na psucie tej broni w razie zaskoczenia zniemacka przeciwnika, oraz odebrania jej od wroga. Ćwiczenia w rzucaniu granatów ręcznych były bardzo pomysłowe i przystosowane do warunków walki ulicznej, czy to z większą ilością policji, czy też wojska.

Nauczono nas robić zasadzki na kawalerję w sposób iście szatański. Oto przykład: na krańcach miasta ulokowana jest kawalerja. Gdzieś, w środku miasta, odbywa się jakaś akcja bojowej organizacji. Alarm, kawalerja co koń skoczy biegnie w kierunku miejsca akcji, po drodze inny oddział bojowej organizacji zawczasu rozrzucił po ulicy specjalnie przygotowane gwoździe, ostrzem do góry. Konie wpadają na nie kopytami, kaleczą się, stają dęba i cały pościg chybia.

W innym wypadku oprócz gwoździ, jeżeli to jest miejscowość słabo oświetlona, przerzuca się drut w taki sposób, aby jeźdźcy, galopem jadący zawisali na przeciągniętych przez ulicę drutach.

W niszczeniu telefonów i telegrafów doszliśmy do mistrzostwa. Gorzej dawaliśmy sobie radę ze studjami topograficznymi. Znajomość anatomji była bezwarunkowo konieczna i znaleźmy ją stosunkowo dobrze, to też nieraz udzielaliśmy rannym pierwszej pomocy.

Program nie obejmował wykładów społeczno-politycznych, nie było na to czasu. Jak wiadomo na 8-ym Kongresie zarysowały się bardzo poważne różnice pomiędzy tak zwanymi starymi P. P. S-owcami a młodymi.*) Cała akcja Wydziału Bojowego ześrodkowana była na kwestjach walki bezpośredniej z najazdem carskim. To też w bojowej organizacji przeważali ludzie, stojący bardzo mocno na stanowisku programu niepodległościowego. W chwilach wolnych od zajęć zajmowaliśmy się kwestjami ogólnopolitycznymi i społecznymi.

Mogliśmy z łatwością otrzymywać potrzebne książki, bywać na zgromadzeniach, na których przemawiali tow. tow. I. Daszyński, Z. Marek i inni. Wieczorami bywaliśmy na "czarnej" w tak zwanej "secesji". Tam też spotykała się emigracja z Królestwa. Stałym bywalcem "secesji" był obecny generał Sosnkowski, który skończył przede mną szkołę i czekał, — jak się to mówi na przydział.

Wykłady nasze po paru tygodniach miały się ku końcowi. Z za kordonu otrzymywaliśmy wiadomości o wzrastającym znów ruchu

*) T. zw. starzy P.P.S-owcy stawiali na pierwszym planie walkę bezpośrednią o Niepodległość Polski, równoległe z walką o poprawę bytu mas robotniczych w Polsce. T. zw. młodzi nie wierzyli w możliwość samodzielnego istnienia Polski, domagając się współpracy z rosyjskim ruchem rewolucyjnym, i wypowiadając się przeciwko taktyce i akcji bojowej.

rewolucyjnym. Ostatnim etapem w naszych studjach był wyjazd do Lwowa na ćwiczenia z pociskami ręcznymi i zbiorową musztrę. Po tygodniu wróciliśmy do Krakowa, przygotowując się do egzaminów.

Na egzaminach byli obecni Ziuk, Barnaba i Maksym (Czarkowski). Przyznaję, że miałem trochę tremy, gdy stanąłem przed egzaminatorami. Zależało nam na tem, żeby jechać do kraju na "robotę", bo Kraków działał demoralizująco na tych, którzy nie mieli jakiegoś określonego w ciągu dnia zajęcia. Po egzaminach odbyła się pożegnalna wieczerza w obecności już nieżyjących Mańkowskiego, Rożena i Piłsudskiego oraz Arciszewskiego, który wtedy wy dostał się z więzienia pruskiego.

Pod koniec wieczery "Ziuk" wygłosił płomienną mowę do nas, w barwnym świetle odmalował przed nami niewolę polityczną i społeczną klasy pracującej, wzywając do walki o wyzwolenie kraju i klasy robotniczej. Przemawiali inni w tym samym duchu, nastrój był podniosły.

W parę dni po skończonym kursie musieliśmy zwolnić mieszkania dla nowej grupy przybyłych z za kordonu towarzyszy. Przed samym wyjazdem do kraju sfotografowałem się, żeby rodzinie przesłać swoją podobiznę. Po otrzymaniu fotografii wykupiłem też dla ostrożności kliszę.

W DRODZE DO WARSZAWY

Miałem wówczas lat 20. Zaopatrzywszy się w fałszywy paszport, wyruszyłem na "robotę" w pierwszych dniach marca 1906 roku do Warszawy, uzbrojony w wiarę w słuszność sprawy, dla której byłem gotów oddać życie. Pociągiem przez Trzebinę i Szczakową przybyłem na granicę. Pociąg stanął. Po chwili zjawiają się żandarmi rosyjscy, obchodzą wagony i żądają paszportów. Przebywanie na komorze wydało mi się wiecznością, wreszcie otrzymuję zpowrotem "przepustkę", przechodzę do rosyjskiego pociągu, wchodzę do ustępu, wyjmuję z bucika rosyjski paszport, wkładam do koperty "przepustkę" i rzucam do skrzynki pocztowej, by za parę dni ktoś inny mógł z nią przejechać kordon.

Przez noc całą jechałem z "granicą" przez Dęblin do Warszawy.

Warszawa — miasto moich chłopięcych marzeń; tu, w stolicy Polski wodzowie rewolucji kują broń przeciwko caratowi, myślałem. Tutaj przyjeżdżają wszyscy instruktorzy po rozkazy organizacyjno-bojowe, z Warszawy rochodzą się nici wielkiego spisku P. P. S. przeciwko gwałtowi najeźdźców i ugodzie klas posiadających.

W murach tego miasta tysiące sere ludzkich bije w takt "Warszawianki", stąd i ja wyjadę na posterunek rewolucyjny, by, w myśl regulaminu bojowej organizacji, walczyć z panoszącą się krzywdą.

Z bijącym sercem wszedłem do mieszkania konspiracyjnego zwanego "biurem". Jakie było moje zdziwienie, gdy wyszedł na moje spotkanie kochany tow. Ludwik Mańkowski.

— Dzień dobry towarzyszu Stanisławie — przywitał mnie tow. Ludwik. Był to mój pseudonim w szkole bojowej.

— Jak się cieszę, że was spotykam pierwszego, na gruncie obcym wśród wielkiego miasta.

— Właśnie śpieszyłem z Krakowa do Warszawy, by wszystkich was z 3-ciej szkoły przyjąć i dać wam wskazówki jak macie postępować, by uchronić się od natrętnych szpiegów. . .

— Jacy wy jesteście kochani — odparłem.

— Dobrze, dobrze, siadajcie, a pilnie słuchajcie, co wam powiem.

Tu tow. Ludwik zaczął przyciszonym głosem dawać mi instrukcje. A gdy skończył, spojrzął mi w oczy i długo, długo patrzył na mnie, jak gdyby chciał czytać myśli moje.

— Pojedziecie do Łodzi, — wyrzekł prawie szeptem. — Będziecie w proletarjackim mieście, tam, gdzie istnieje nędza mas z jednej strony, a przepychy zubożonych kapitalistów z drugiej. A oto adres : piszcie. . .

Wyjąłem notatnik i skrętnie zanotowałem sobie wskazany adres.

Noc spędziłem w Warszawie ; leżąc w łóżku rozmyślałem o tem co mnie czeka w mojej pracy. Długo nie mogłem rozmyślać nad przyszłością, albowiem otoczona była mgłą tajemniczości. . . . Myślałem za to o przeszłości, — oto mieszkanie, gdzie wychowałem się, a oto dobra, kochana Matka, która opowiadała nam — dzieciom, o powstaniu. Później, praca we fabryce, zebrania konspiracyjne ; na których wykladał tow. Emil (Bernier) albo Laskowski. A gdy wyczerpał się temat rozmyślań — znów wróciłem do Ludwika. Wszak był skazany na ciężkie roboty, długie lata siedział w katordze za Bajkałem, a jaki jeszcze młody duchowo, ile ma zapału, jak mówi o zadaniach i obowiązkach rewolucjonistów.

Tow. Mańkowski był ubóstwiany przez wszystkich bojowców.

Rano wyjechałem z dworca Kaliskiego w stronę Łodzi. Otrzymałem zlecenie, by do samej Łodzi nie przyjeżdżać tylko wysiąść w Zgierzu, a ze Zgierza pojechać tramwajem do Łodzi. Ostrożność zachowano dlatego, iż na dworcu w Łodzi często rewidowano przyjeżdżających, zdarzały się również wypadki aresztów.

Do miasta wjeżdżałem przez Bałuty w południe. Ogromna masa kobiet i mężczyzn wychodziła z fabryk na obiad. Przyglądałem się tym spracowanym ludziom, ile w tych twarzach było boleści, jaki bezmiar smutku ! . . .

Widok ten zrobił na mnie przygnębiające wrażenie. Wprawdzie sam byłem robotnikiem, ale robotnicy w fabrykach metalowych wówczas znacznie więcej zarabiali i stopa życiowa ich była wyższa.

Pomiędzy pierwszą a drugą zgłosiłem się do "biura," gdzie zapoznałem się z tymczasowym kierownikiem okręgu, obecnie pułkownikiem wojsk polskich. Tow. "Andrzej" dał mi adres "biura" na jutro, i polecił szukać sobie mieszkania.

Po obiedzie znalazłem na ul. Andrzeja Nr. 15 bardzo ładny pokój umeblowany z balkonem, z którego prawie nigdy nie korzysta-

łem ze względów konspiracyjnych. Nowa moja gospodyni była Niemką. Oprócz mnie mieszkał u niej jakiś p. Sokolów, weterynarz.

Po wprowadzeniu się, gospodyni zażądała ode mnie dowodu osobistego dla zameldowania w policji. Dowód wręczyłem, zameldowany już fikcyjnie w Warszawie.

Wieczorem wyszedłem na miasto; było to przed świętami Wielkiej Nocy. Chłopcy ku oburzeniu policjantów strzelali z kalichlorikum po ulicach.

Noc spędziłem dobrze, a na drugi dzień udałem się do "biura" dla otrzymania dzielnicy.

Przydzielono mi dwie dzielnice — Zgierz i Dąbrowkę (Chojny). W "biurze" dowiedziałem się, że tak zwana "lewica" robi różne wstręty naszym ludziom, nie dopuszczając nas do zorganizowanych robotników, z pośród których mieliśmy werbować członków do Bojowej Organizacji.

Pomimo oporu z ich strony, ponad głowami ich, dostaliśmy się do robotników. Był to okres, kiedy nowy Centr. Kom. Robotniczy, wybrany na VIII Kongresie, nie wiedział, co ma począć z nami.

Po pewnym czasie ustaliło się możliwe współzycie wydziału agitacyjnego z wydziałem bojowym, szczególnie po przyjeździe tow. Montwiła, któremu udało się przekonać przywódców Komitetu Łódzkiego, że na solidarnej współpracy zyska partja i klasa robotnicza.

Pierwszy mój występ był w Zgierzu.

Wieczorem o godzinie 7 przybyłem na wykład do pierwszej szóstki, którą pomogła mi zorganizować tow. "Hilda" (dziś p. Falska).

Stałem przed znacznie starszymi robotnikami; z pewną treścią pierwszy wykład zacząłem temi słowy:—

Towarzysze! z polecenia wydziału bojowego pragnę was zorganizować i wyszkolić na żołnierzy P. P. S. Jesteście gotowi do poświęceń?

Chwila milczenia. —

Proszę o głos towarzyszu, — zagadnął z brzegu siedzący robociarz.

— Dziękujemy wam za słowa gorące i oświadczamy, że dawno pragniemy od słów przejść do czynów — wszyscy jak jeden, chcemy być w Bojowej Organizacji.

Uradowany, jak dziecko, uściśnąłem im dłonie.

Po wstępie, zapoznałem ich z najważniejszą rzeczą, — z regulaminem bojowej organizacji, który był bardzo surowy. Punkt po punkcie objaśniałem, a gdy skończyłem, znów oświadczyłem, że mają czas, mogą się wycofać jeszcze. —

Nie, towarzyszu Kacper, raz powiedzieliśmy — to święte.

Po gruntownym zapoznaniu z regulaminem, następny wykład poświęciłem ćwiczeniu z bronią krótką. Następnego dnia odbyło się drugie zebranie w dzielnicy "Dąbrowka" W palmową nie-

dzielę udałem z się pierwszą szóstką do lasu Łagiewnickiego na strzelanie i musztrę.

Wyszliśmy o godz. 4 rano; by do godziny 9-tej, kiedy jeszcze las nikogo nie gościł, zakończyć naukę strzelania. Bojowcy, z rozpromienionymi twarzami i skupieni w sobie, bacznie śledzili moje ruchy, by sprostać zadaniu. Pierwsza lekcja w polu wypadła nieźle. Wróciliśmy do Zgierza około 10½ przed południem, o 11-tej wyjechałem tramwajem do Łodzi.

Na drugi dzień otrzymałem wiadomość w "biurze," że jeden z bojowców został zabity przez nieuwagę, przy czyszczeniu browninga. Wypadek ten wpłynął na mnie przygnębiająco. Organizacja miejscowa sprawiła uroczysty pogrzeb młodemu bojowcowi.

Tego rodzaju wypadków z początku, po wprowadzeniu w użycie browningów, było bardzo dużo.

Zbliżały się święta, pierwsze święta zdala od bliskich, w obcym mieście. Do moich znajomych bojowców nie chciałem iść, nie chcąc ich krępować swoją obecnością. Całe dwa dni poświęciłem na zwiedzanie miasta. Gospodyni moja była bardzo ciekawa, czym się zajmuję — unikałem z nią rozmowy na ten temat.

Po świętach zorganizowałem jeszcze dwie szóstki. Życie organizacyjne absorbowало mnie zupełnie. Poza wykładami fachowymi miałem z własnej inicjatywy wykłady o historii, o socjalizmie i t. p. Lubilem swoich bojowców bardzo, oni zaś odpłacali mi wzajemnością. Każdą niedzielę do południa spędzałem na ćwiczeniach w polu. Po południu czytałem i wypoczywałem.

NATEŻENIE DZIAŁALNOŚCI REWOLUCYJNEJ.

W toku rozwoju organizacji bojowej i jej wyszkolenia narastał wewnętrzny kryzys na tle taktyki. Centralny Wydział Bojowy wydał nam, instruktorom, ściśle polecenie, by cały nasz wysiłek skierować na ubojowanie klasy robotniczej w sensie przygotowania technicznego. Zakazano nam używać Organizacji Bojowej do jednostkowego teroru. Szeregowi, a później i instruktorzy, rozpoczęli szemrać przeciwko bezczynności Wydziału Bojowego.

W partji w pierwszej połowie tego roku były dwie bojowe organizacje, jedna, będąca pod bezpośredniem kierownictwem Okręgowych Komitetów, druga pod wyłącznem kierownictwem Wydziału Bojowego. Zadaniem przez nas tworzonych kadr Bojowej Organizacji było przygotowanie do zbrojnego powstania. Bojówka, będąca pod wpływami komitetów miejscowych, miała na celu stosowanie teroru o charakterze lokalnym.

Wydział agitacyjny partji nie miał żadnego dostępu do naszych szeregów. Partja rozrastała się liczebnie, a ze wzrostem partji sypały się na nią represje. Zachodziła potrzeba przeciwdziałania represjom władz administracyjno-policyjnych. Bojówka lokalna nie mogła sprostać zadaniom. Wówczas zaczęliśmy, pod naciskiem

zorganizowanych przez nas bojowców, " próbne " manewry naszych żołnierzy przeciwko carskim siepaczom.

Działalność nasza była do pewnego stopnia " nielegalną " wobec Wydz. Bojowego. Niektórzy z nas, na żądanie Komitetów miejscowych, zaczęli osłaniać działalność agitacyjną przez usuwanie szkodliwych policjantów, szpicli fabrycznych i t. p.

Stan taki nie mógł być tolerowany przez centralne władze Bojowej Organizacji.

W łódzkiej organizacji powstał " spisak " przeciwko nieróbstwu Wydziału Bojowego. Wobec łamania karności, Wydział Bojowy rozpoczął represje organizacyjne. My, ze swej strony, domagaliśmy się zwołania ogólnokrajowej konferencji Organizacji Bojowej. Wydział Bojowy, po zorientowaniu się w sytuacji, uległ naszemu żądaniu. Została zwołana latem 1906 roku do Krakowa Konferencja Bojowej Organizacji. Konferencja zakończyła się przyjęciem postulatów opozycji.

Od zmiany tej, Organizacja Bojowa, organizując kadry rewolucyjnych żołnierzy, osłaniała równocześnie działalność propagandystyczną partji. Stworzono jedną Bojową Organizację. Nawiązano bliski kontakt z działalnością agitacyjną partji przez łącznika z bojówki, który wchodził w skład Okręgowego Komitetu.

Po wewnętrznym kryzysie Organizacja Bojowa nabrała ogromnego rozmachu. Każdy gwałt policji, każda zdrada prowokatorów karane były śmiercią. Na biurokrację carską padła straszliwa panika.

Pomiędzy Wydziałem Bojowym a instruktorami zapanowała harmonja. Na krakowskiej konferencji odnowiono osobowy skład Wydziału. Przyjęta została propozycja tow. Montwiła, iż nie może być członkiem Wydziału człowiek, który nie brał udziału w czynnej akcji, wyjątek zrobiono dla Piłsudskiego. Nastąpił podział pracy na linję, sztab, intendenturę, wywiad i kasę.

W drugiej połowie 1906 r. rozwój organizacji partyjnej doszedł do szczytu potęgi. Ówczesny Generał Gubernator i namiestnik carski Skalon robił olbrzymie wysiłki, by okrucieństwem zastraszyć walczący proletarijat. Okres ten pod-prokurator warszawskiej Izby Sądowej Żyżyn, w swojej książce p. t. " Ruch rewolucyjny w Polsce, " między innymi tak charakteryzuje :

" Zamachy na urzędników carskich dokonywane były jeden za drugim, napady na instytucje rządowe były coraz zuchwalsze, nad podziw obmyślane i konsekwentnie przygotowane. Bomby bez przerwy wybuchały na przestrzeni całego kraju. Polska Partja Socialistyczna — powiada tenże Żyżyn — była " w prywilejskim kraje " niepokonaną potęgą ! "

Istotnie, cały 1906 rok był nieprzerwanem pasmem z precyzją obmyślanych aktów rewolucyjnych ze strony Bojowej Organizacji.

Nie mogę obszerniej zastanawiać się nad tym okresem w moich wspomnieniach, które dotyczą określonego terenu, w każdym razie z naciskiem zaznaczam, iż to, co później grupowało się w strzelcach

i legionach, wyrosło z tego okresu. Partja stworzyła tysiące bezimiennych bohaterów, rekrutując ich z pośród robotników, i częściowo inteligencji. Są ludzie, którzy ten wielki szmat tryskającego życia rewolucyjnego pragnęliby sprowadzić do znaczenia jednej osoby. Pomysł fałszowania historii może powstać w głowach ludzi bądź ograniczonych, bądź też zaślepionych.

Zbiorowość rewolucyjna P. P. S. była tą dynamiczną siłą, z której wyszło na arenę życia polskiego wszystko to, co później nazywało się 1-szą brygadą. Jeżeli chodzi o osobę Marszałka Piłsudskiego, to on w tym okresie nie brał bezpośredniego czynnego udziału w żadnej akcji bojowej. Najczynniejsi byli Montwiłł, Arciszewski, Mańkowski, częściowo Sławek i inni. O ile pamięć mnie nie myli, Piłsudski brał jedynie udział w "Bezdanach" w roku 1908.

Po uporządkowaniu wewnętrznym Bojowej Organizacji tow. Montwiłł dał nam — instruktorom — dyrektywy następujące :

Po zorganizowaniu nowej jednostki bojowej, należy zwrócić uwagę na regulamin, później na gruntowną znajomość krótkiej broni. Następnie, zaraz po pierwszym ćwiczeniu w strzelaniu w polu, szóstka musi być obowiązkowo na robocie. Jeżeli okaże się, że wywiązała się dobrze, to prowadzić szkolenie w dalszym ciągu, w razie przeciwnym, należy szóstkę tę rozwiązać. Metoda ta była bardzo korzystna w praktyce.

KRWAWA ŚRODA.

Skałoni i jego szpiecy wykombinowali nową metodę walki z masowym ruchem rewolucyjnym. Metoda ta polegała na masowych aresztach i biciu w straszny sposób aresztowanych. Partja nie mogła obojętnie patrzeć na katowanie swoich członków przez policję. Wydział Bojowy organizacji obmyślił plan kontr-akcji, o charakterze masowym. Postanowiono jednego dnia, w miarę możliwości o jednej godzinie, dokonać masakry policji, żandarmów i t. p. dygnitarzy carskich.

Dniem tym był 15 sierpnia 1906 roku ; dzień ten znany jest w kronice rewolucyjnej P. P. S. pod nazwą "Krwawej środy."

Oprócz masowej akcji terrorystycznej postanowiono zburzyć kilka cyrkułów policyjnych przez rzucenie bomb. W Łodzi rzucone były bomby do III cyrkułu, wybuch bomb spowodował zniszczenie wewnętrzne w cyrkułe prócz tego było 7 rannych żołnierzy i 3-ch policjantów, Na ulicy zabito trzech kozaków i trzech policjantów. Poza tem trzech policjantów raniono.

W Łodzi "Krwawą środę" zaczęto o godz. 6 wiecz. Godzina ta była spóźniona, bo w Warszawie i innych miastach zaczęto z rana. Władze policyjne w obawie przed masakrą policji na posterunkach, o godzinie 12-iej w południe wycofały policję, zastępując ją wojskiem. Organizacja Bojowa z braku policji i żandarmów napadała na kozaków.

Strzelanina trwała około 3-ch godzin. Panika wśród władz była ogromna. Oddział, który dokonał napadu na cyrkuł, liczył 22 ludzi. Napad był precyzyjnie opracowany; zbiórka była w parku "Tivoli." stamtąd cały ten oddział szedł w taki sposób, żeby punktualnie o 6-ej być na miejscu.

W momencie podejścia do cyrkułu z ulicy Wulezańskiej na spotkanie bojowców wyszedł przypadkowo patrol kozacki. Z chwilą ukazania się patrolu oczy wszystkich bojowców zwrócone były w stronę dowódcy oddziału, tow. "Henryka". Sękowski* obrzucił okiem swój oddział, dał znak "baczność," wyjął trąbkę z kieszeni, dając sygnał do ataku. W oka mgnieniu, według zgóry opracowanego planu, bojowcy rzucili się do cyrkułu, rozległy się sygnały i po chwili wybuch 3-ch bomb. W czasie, kiedy 18 towarzyszy przypuszczało szturm do cyrkułu, tow. "Henryk" z 4 bojowcami rzucił się na kozaków. Jeden kozak został śmiertelnie raniony, reszta uciekła.

Na drugi dzień zdwojono patrole wojskowe. Ani policjantów ani też żandarmów w ciągu tygodnia nie można było zobaczyć na ulicach.

Po krwawej środzie obóz endecki do spółki z Narodowym Związkiem Robotniczym (późniejszym N. P. R.) i Socjalną Demokracją Królestwa Polskiego i Litwy licytowali się w napaściach na P. P. S.

Rząd carski, na wniosek Stołypina, wprowadził sądy wojenno-polowe. Pomimo zmienionych warunków, robotnicy-bojowcy nie drgnęli. Przeciwnie. Po tym ukazie Stołypinowskim, jeszcze z większą siłą karząca ręka Bojowej Organizacji czyniła spustoszenia w szeregach policyjno-szpiclowsko-żandarmskich.

W trzy dni po krwawej środzie przygotowano zamach na Skalona, sprawcę i inicjatora masowych aresztowań i bicia. Zamach ten, chociaż nieudany, odbił się jednak głośnym echem po całym kraju.

Zaraz po "Krwawej Środzie" otrzymałem zlecenie od tow. Montwiłła, by zająć się przygotowaniem zamachu na Mozelewskiego, naczelnika więzienia łódzkiego, przy ul. Długiej.

Pan ten katował politycznych w bezlitosny sposób, pisano o nim dużo. Nie wychodził on na ulicę, a jeżeli niekiedy mu się to zdarzało, to w otoczeniu znacznej ilości żołnierzy. Wprawdzie ta okoliczność mi nie przeszkadzała, ale zwykle łotryk ten chodził w południe, kiedy najwięcej ludzi kręciło się po ulicy Konstanyńskiej. Trudno było dla jednego łotra poświęcić przypadkowych przechodniów. Niestety w niepodległej Polsce pan ten znajdował się na wolności.

Nie wyliczam tu dużej ilości różnych szpicli, którzy, zostali straceni przez Bojową Organizację w Łodzi.

*) Nazwisko to nie ma nic wspólnego ze znanym prowokatorem Sankowskim, który został zabity w Warszawie.

AKCJA POD ROGOWEM

Łódzka Organizacja Bojowa, pod kierownictwem tow. Montwilla dokonała słynnego napadu na pociąg pocztowy pod Rogowem.

Było to w drugiej połowie 1906 roku. Represje carskich żandarmerów, policji, kozaków szalały w sposób bezwzględny. Cały aparat ucisku i gwałtów utrzymywany był za pieniądze polskich podatników. Wydział Bojowy postanowił konfiskować carskim urzędnikom pieniądze polskie, by obracać je na walkę z aparatem carskiego ucisku.

W tym czasie otrzymaliśmy nowy transport wspaniałej automatycznej broni — mauzery na kolbach, w futerałach. Wspaniała broń, 10 - strzałowa. Wydział Bojowy na swoim posiedzeniu postanowił odebrać carskim urzędnikom pieniądze przełożone z granicy austriacko-rosyjskiej, na jednej ze stacyj kolejowych na kolei Warszawsko - Wiedeńskiej. Wybrano stację Rogów, położoną o dziesięć minut jazdy od węzła kolejowego w Koluszkach.

Po przeprowadzeniu wywiadów ustalano, że każdy z instruktorów dowodzący oddziałem bojowców musiał osobiście spenetrować całą okolicę koło stacji kolejowej i przejść piechotą wedle wytkniętej trasy na mapie ze stacji Rogów do Łodzi. Dowódcą całego oddziału był Montwiłł (Grzegorz), powieszony w 1908 roku na stokach cytadeli naskutek wyroku sądu wojennego w Warszawie. Poza tem w akcji tej brało udział sześciu instruktorów oraz czterdziestu ośmiu bojowców.

Rogów znajdował się w trójkącie pomiędzy miastem powiatowem Brzeziny, Rawą Mazowiecką i Koluszkami. Na zachodzie były miasta Łódź, Piotrków, na wschodzie Skierniewice. We wszystkich tych miastach były duże oddziały wojsk carskich, przeważnie kozaków. Trzeba było więc szybko skończyć akcję bojową oraz szybko przedzierać się lasami pomiędzy Koluszkami a Brzezynami w stronę Łodzi.

W umówiony dzień zebraliśmy się wszyscy koło plantu kolejowego pomiędzy stacjami Widzew a Łódź - Kaliska. Gdy się już zupełnie ściemniło, wyruszyliśmy wyznaczoną trasą do lasu w pobliżu stacji Rogów. Przeszliśmy tę drogę tak, by całą trasę przejść nocą, a o świcie znaleźć się w lesie.

Tak wyruszył pierwszy duży oddział wojska rewolucyjnego polskiej podziemnej armji na walkę z potęgą caratu ; była to pierwsza wielka bitwa rewolucyjna polskich rewolucyjnych żołnierzy z carskimi żołdakami po powstaniu 1863 roku. Bitwę tę wygraliśmy.

Przybyliśmy do lasu zmęczeni. Rozłożyliśmy się obozem, porozstawialiśmy pikiety i oczekiwaliśmy wieczorowych godzin, gdy pociąg pocztowy będzie jechał z granicy do Warszawy.

Po wypoczynku, około wpół do dwunastej w południe, posłano dwóch bojowców na wywiad w okolice stacji. Jakie było ich zdziwienie, gdy na stacji kolejowej zastali duży oddział kozaków z Brzeziny ! Po zasięgnięciu języka wyjaśniło się, że kozacy patrolo-

wali dworzec i okolice dworca z tego powodu, iż gubernator piotrkowski, Miller, przybył do Brzezin na inspekcję. Ponieważ nie było wiadomo, kiedy gubernator raczy wyjechać, a pociąg pocztowy dziesięć minut wcześniej odchodził z Rogowa do Warszawy od pociągu, który szedł z Warszawy do Piotrkowa, koniecznością było corychlejszemu opuścić kryjówkę w lesie, położoną o cztery kilometry od dworca i wyczekiwać zmroku, aby wrócić do Łodzi — z niczem.

Trzeba było się spieszyć, bo prawie wszyscy bojownicy byli to tkacze łódzcy, którzy musieli stanąć o godzinie szóstej do pracy, by nie zwrócić uwagi nieobecnością swoją w fabryce. Szliśmy szybko, co dwie godziny zatrzymywaliśmy się na krótki postój, skrętnie omijając wsie, które spotykaliśmy po drodze. W czasie wypoczynku felczer nasz, zaopatrzony w koniak i czekoladę, dawał nam dużym naparstkiem koniak i kawałek czekolady.

Potem ruszaliśmy znowu dalej. Noc była ciemna, gdzieniegdzie przebłyski gwiazd. Około pierwszej w nocy zauważyliśmy światło elektryczne na stacji Widzew pod Łodzią. Zwolniliśmy tempa, by zbyt nie forsować nóg, uważając, że rankiem trzeba stanąć do pracy. Szczęśliwie dobrnęliśmy do miasta niespostrzeżeni przez policję.

W ciągu dwóch tygodni dowódca naszego okręgu, tow. Grzegorz, nie pozwolił mówić na ten temat nikomu z nas przy spotkaniu w tzw. "biurze." Piętnastego dnia wieczorem przyszedł do mojego mieszkania na ulicy Nawrót tow. Grzegorz i zakomunikował mi :

" Za trzy dni musicie przygotować amunicję, zakupić bilety do różnych stacji kolejowych, ale ani jednego do Rogowa. Ze stacji Łódź — Fabryczna pojedziemy koleją do Rogowa. Oddział towarzysza Ignaca (Celiński — Kułakowski, jeden z wywiezionych dziesięciu z Pawiaka), wysiadzie ze swoim oddziałem w Koluszkach i zajmie miejsce ze swoimi bojowcami w ostatnim wagonie pociągu, albowiem były takie dni, że część żołnierzy znajdowała się obok wagonu pocztowego, a część w ostatnim wagonie dla osłony pociągu."

Zapytałem, jaką im dać broń.

" Krótką palną, wszystkim nadto fińskie noże."

" Dlaczego " zapytałem " fińskie noże " ?

Bo w wagonie mogą być pasażerowie, strzelać nie będzie można, a jednak unieszkodliwić żołnierzy należy." Zapytał, czy zrozumiałem.

" Tak, towarzyszu, wszystko załatwię według rozkazu."

Na półtorej godziny przed odejściem pociągu wszyscy byli wezwani. Instruktorzy rozdali broń bojowcom, którzy tak, jak akcja miała być prowadzona, zajmowali miejsce w pociągu.

Ja ze swoim oddziałem zająłem miejsce w pierwszym wagonie za parowozem, albowiem oddział mój miał za zadanie opanować parowóz, usunąć maszynistę i palaczy i oczekiwać rozkazu. Drugi oddział miał za zadanie usunąć z posterunku stacyjnego dwóch żandarmów i zniszczyć aparaty telefoniczne i telegraficzne. Trzeci

oddział, uzbrojony wyłącznie w mauzery, miał za zadanie rozlokowanie się na stacji kolejowej w pokoju środkowym, wszystkich przypadkowych pasażerów zalokować do jednego pokoiku i zająć miejsca przy oknach (które służyły za strzelnicę). Czwarty oddział miał otoczyć pierścieniem plac przy dworcu kolejowym, nie wypuszczając nikogo ze stacji kolejowej, natomiast mieli wpuszczać tych, co szli na stację. Piąty oddział miał najbardziej odpowiedzialną funkcję, gdyż musiał rozlokować pod starymi kasztanami dworca swoich bojowców i oczekiwać na nadejście pociągu. Ostatni oddział, który wysiadł w Kuluszkach, miał zamknąć swoim oddziałem tyły pociągu i jeżeli eskortujący żołnierze wyskakując będą z wagonu, mieli do nich strzelać, niekoniecznie dlatego, żeby ich zabić, tylko żeby ich steroryzować i zdemoralizować.

O godzinie ósmej minut sześć przybyliśmy pociągiem do Rogowa. Wszystkie oddziały zajęły swoje posterunki, oczekując przybycia pociągu pocztowego, który miał nadejść za 11 minut.

Oczekiwanie było dla nas nużące.

Pamiętam jak dziś, — z bijącym sercem wpatrywałem się w dal na oświetlony parowóz, który zbliżał się do stacji kolejowej. Nagle z loskotem wpadł pociąg na stację kolejową. Ja z błyskawiczną szybkością, podrzucony przez starszego szóstki, kowala z fabryki z Łodzi, skoczyłem do parowozu, z rewolwerem do maszynisty, odsuwając go od lewaru. W momencie, gdy przyskoczyłem do niego, maszynista uśmiechnął się i powiedział :

“Tylko spokojnie, towarzyszu, nie denerwujcie się. A umiecie prowadzić maszynę ?

“Nie wasza rzecz, marsz do węglarki.”

Jeden z bojowców mojego oddziału rozwinął czerwony sztandar, na którym dumnie widniały trzy litery P.P.S. W trakcie wykonywania przezemnie działań, oddział drugi po krótkim szamotaniu się z żandarmami, w których padły cztery strzały, zakończył usuwanie żandarmów, a druga część tego samego oddziału z błyskawiczną szybkością jeszcze na kilka sekund przed przybyciem pociągu na stację, zniszczyła aparaty telegraficzne i telefoniczne.

Dowódca trzeciego oddziału wydał rozkaz publiczności, żeby kładła się koło muru i nie ruszała się z miejsca. Donośnym głosem oznajmił im, żeby byli spokojni, albowiem “Państwo macie do czynienia z bojowcami z Polskiej Partji Socjalistycznej, którzy wam osobiście żadnej krzywdy nie zrobią.”

W tym samym czasie piąty oddział przystąpił do unieszkodliwienia konwoju, składającego się z 45 żołnierzy, a zrobił to w sposób następujący : jeden z bojowców, bardzo wysoki wzrostem, tkacz z fabryki Ossera, podskoczył do wagonu i grubym kijem rozbił szybę w oknie, następnie błyskawicznie rzucił czasową bombę, a reszta obsypała gradem kul kilku wyglądających oknem żołnierzy. Po dwudziestu sekundach — wielki wstrząs, słup dymu i ognia i całe wojsko cara, które zostało przy życiu, zaczęło uciekać w pole. Bojowcy mojego oddziału i oddziału szóstego zaczęli strzelać za

nimi w górę, żeby ich zdemoralizować, chociaż nie było potrzeby, gdyż w panice i popłochu uciekali w stronę lasu.

W tym samym czasie, gdy pociąg wpadł na stację, dowódca nasz, tow. Grzegorz, podszedł do dzwonka (na kolejach za czasów carskich były dzwonki), odzwiernego usunął i wziął sznurek do ręki, by w wypadku gdyby pokazało się, że w pociągu tym znajdują się sami żołnierze, szybko po sobie następujące uderzenia dzwonka miały zastąpić rozkazy dla mnie. Ja miałem wówczas puścić maszynę i wywieźć pociąg z wojskiem, żeby w ten sposób uratować wszystkich bojowców.

Na szczęście nie doszło do tego, gdyż tak, jak zwykle, była tylko ochrona składająca się z 45 ludzi. Po wyjaśnieniu sytuacji, oddział drugi wraz z dowódcą przystąpili do akcji celem zdobycia wagonu pocztowego. Ponieważ straż pocztowa stawiała opór, do wnętrza wagonu pocztowego wrzucono petardę dynamitową, która zakończyła się tragicznie dla starszego urzędnika prowadzącego pocztę, gdyż był ciężko ranny. Inni zaś weszli do wagonu pocztowego celem zabrania pieniędzy.

Cała akcja trwała osiemnaście minut. Po zabraniu pieniędzy oddział stanął w szyku bojowym Tow. Grzegorz oświadczył bojowcom :

“Towarzysze, w imieniu Wydziału Bojowego Polskiej Partji Socjalistycznej dziękuję wam za waszą dzielną postawę i życzę wam szybkiego powrotu do Łodzi. Odwrót będzie prowadził tow. Kacper, czterech zaś bojowców pojedzie ze mną, byśmy mogli ulokować w bezpiecznym miejscu pieniądze wzięte z rąk urzędników carskich, które obrócimy na walkę z carem.”

Oddział uszeregował się, chorąży na przedzie. Padła komenda “krokiem marsz,” a w ślad za tem zaśpiewano jedną zwrotkę Warszawianki.

Musieliśmy szybko iść około kilometra w stronę Warszawy, by następnie skręcić w dość duży gęsty las, a następnie zrobić pół obrotu na lewo kierując się w stronę Łodzi. Zaledwie uszliśmy kilka kilometrów, gdy nagle postyszałem tętent koni na szosie od strony Brzezin. Sygnał latarką elektryczną, wszyscy padli na ziemię i oczekiwali dalszych rozkazów.

Niedługośmy czekali. Ukazał się oddział kozaków ściągnięty luną pożaru na stacji Rogów. Jednocześnie na horyzoncie widać było wyraźnie, jak w oświetleniu lampek naftowych jechało kilka drezyn z wojskiem z Kuluszek. Jak tylko kozacy znikli nam z oczu, szybko przeszliśmy szosę i po kilku minutach skryliśmy się w wielkim lesie. Szliśmy bez przerwy trzy i pół godziny. Chodziło mi o to, by jaknajdalej od miejsca akcji wyjść, a gdy się okazało, że już przeszliśmy przynajmniej 15 kilometrów, wówczas zatrzymałem oddział na chwilowy odpoczynek. Po spożyciu posiłku ruszyliśmy dalej.

Szło nam się raczej wesoło, jakże inaczej niż poraz pierwszy, gdy wracaliśmy z niczem. Palić było niewolno, rozmawiać także, a

bojowcy chcieli się dzielić wrażeniami akcji. Rozkaz był jednak surowy i był ściśle wykonany.

Około godziny trzeciej byliśmy już niedaleko od wsi Wyskitno, dużej wsi w odległości 12 kilometrów od Łodzi. Nagle ukazała się tak wielka mgła, że poszczególne oddziały straciły łączność z sobą, ale kompas wiernie doprowadził wszystkich na Chojny, przedmieście Łodzi, skąd już drobnymi grupami i w pojedynkę wrócili do domów.

Należy zaznaczyć, że cała akcja skończyła się niezwykle pomyślnie dla nas, albowiem nikt nie został ranny i nikt nie został aresztowany.

Fakt zdobycia pieniędzy pod Rogowem i rozbicia całego oddziału wojskowego wywołał entuzjastyczny nastrój w masach robotniczych i wśród sympatyków P.P.S. — Daremnie w ciągu całego tygodnia kozacy, żandarmi, oddziały kawalerji obszukiwali okolice. Mogli szukać. Najciekawsze, że szukali wtedy, gdy wszyscy uczestnicy byli na miejscu i przy swych warsztatach pracy, oczywiście z wyjątkiem instruktorów, którzy setnie wycoczywali po odbytej drodze.

W Warszawie wydano nadzwyczajne dodatki, opisujące przebieg akcji pod Rogowem. Żandarmi warszawscy usilnie rewidowali wszystkich pasażerów, którzy jechali w tym pociągu, po przybyciu do Warszawy, a na drugi dzień smętnie warszawski urzędowy dziennik napisał, że na ślad sprawców nie natrafiono. Trzeciego dnia ukazała się odezwa Centralnego Komitetu, kwitująca odbiór zabranej gotówki w sumie 37.000 rubli.

Należy zaznaczyć, że tow. Grzegorz wraz z pieniędzmi i bojowcami, dostał schronienie u proboszcza jednej z parafji pod Zgierzem. Jak z tego wynika, to i księża byli sympatykami Bojowej Organizacji P.P.S.

ROZŁAM W P.P.S.

Po napadzie na pociąg pod Rogowem, Centralny Komitet Robotniczy zawiesił Centralny Wydział Bojowej Organizacji. Prawie cała bojówka zsolidaryzowała się z Wydziałem. Próby Centralnego Komitetu skaptowania sobie niektórych z nas spełzyły na niczem. Partja stanęła w obliczu rozłamu.

Na skutek domagania się całej bojowej organizacji, C. K. R. przyspieszył zwołanie IX zjazdu, który odbył się w Wiedniu. Przed IX zjazdem odbył się II zjazd instruktorów Bojowej Organizacji w Krakowie. Cały zjazd stanął w obronie taktyki Wydziału Bojowego. Wybrano 3-ch delegatów na zjazd partyjny z Piłsudskim na czele. Delegację tę, zjazd opanowany przez tak zw. "lewicę," odrzucił. Delegacja Bojowej Organizacji wyszła ze zjazdu, a z nią część towarzyszy, pracujących w agitacji. Rozłam był faktem dokonany.

W czasie IX zjazdu zostałem w Łodzi, by tymczasem przygotować wszystko do opanowania składów broni i majątku partyjnego. Po otrzymaniu wiadomości o rozłame, wszystko było w naszym

posiadaniu. Matadorzy umiarkowanej frakcji po powrocie do Łodzi nie już nie zastali.

Wyszedł 200 numer "Robotnika" w nowej redakcji. Na jakiś czas trzeba było broń ukryć i zająć się agitacją.

W dwa tygodnie po rozłamie odbyła się konferencja łódzkiej organizacji. Ze strony bojowej organizacji było nas 7 instruktorów i tow. tow. Filipowicz, Jędrzejowski i Turowicz. Tak zw. "lewica" zgrupowała około 86 funkcjonariuszów z Feliksem Kohnem na czele.

Na konferencji "lewica" miała ogromną większość. Poza konferencją znaczna w mieście większość robotników stanęła po naszej stronie. Wystarczy nadmienić, że na 18 tysięcy płacących składki w Łodzi, zgorą 11 tysięcy stanęło po naszej stronie. Część instruktorów wróciła zpowrotem do bojowej działalności, część zaś, z tow. Jaworowskim, do agitacji.

W grudniu otrzymałem polecenie przygotowania zamachu na oberpolicmajstra Łodzi Chrzanowskiego, który oddawna był przez partję skazany na śmierć.

Po zrobieniu wywiadu przygotowałem zasadzkę na niego w dniu 6 grudnia, w dzień imienin cara Mikołaja. Chrzanowski jechał do cerkwi ulicami Przejazd i Mikołajewską. Na rogu Mikołajewskiej (obecnie Sienkiewicza) i Krótkiej (obecnie Traugutta) czekaliśmy na niego. Ulice zasypane były śniegiem. Gdy sanie wiozące Chrzanowskiego podjechały do nas w otoczeniu kawalerji, dałem sygnał trąbką, posypały się salwy z mauzerów do żołnierzy, jednocześnie dwie bomby padły w stronę sani.

Jedna bomba upadła na kolana Chrzanowskiego i stoczyła się w śnieg, nie eksplodując, druga, trochę spóźniona, trafiła w tył sani. Wybuch był straszny. Zostali ranni Chrzanowski, jeden żołnierz, stangret i agent policji. Niebawem policmajster Chrzanowski usunął się z policji, jako kaleka. Nikt z nas nie został aresztowany.

Był to ostatni mój występ w Łodzi. Nie podałem różnych drobniejszych epizodów, gdyż możebym dotknął tem niektórych towarzyszy, którzy nie mieli szczęścia, jako kierownicy Bojowej Organizacji.

PROWOKACJE I WSYPY

W końcu grudnia zostałem przeniesiony do Częstochowy. Dłużej przebywać w Łodzi nie mogłem, gdyż byłem już rozkonspirowany. Dnia 23 grudnia przyjechałem do Częstochowy po 9-miesięcznej nielegalnej pracy w Łodzi. Przez cały ten czas byłem tylko dwa razy rewidowany, raz przez patrol wojskowy, a drugi raz przez bojówkę Narodowego Związku Robotnicznego, w czasie bratobójczych walk.

Po przyjeździe do Częstochowy zastałem tam tow. tow. "Ludwika" — Mańkowskiego i "Pawła" — obecnie generała Dąbkowskiego. Był to czas poważnych "wsyp" i znacznych prowokacyj.

Wydział Bojowy Organizacji, z powodu grasowania w Warszawie dwóch prowokatorów, Dyrca i Sankowskiego, zmuszony był choć na jakiś czas wyjechać się z Warszawy do różnych miast Polski.

Z wyjątkiem Ziuka — Piłsudskiego, który stale przebywał

“zagranicą” (Kraków), reszta członków Wydziału Bojowego przebywała przeważnie w Warszawie.

Prowokatorzy Dyrz i Sankowski znali wiele konspiracyjnych mieszkań, to też czynili oni poważne spustoszenia w szeregach bojowej organizacji na terenie Warszawy, a częściowo i na prowincji.

Jak już powiedziałem, dwóch członków wydziału bojowego t. t. Ludwik i Paweł znajdowali się w Częstochowie.

Wieczorem w towarzystwie tow. Ludwika — Mańkowskiego udałem się do Rakowa, tam bowiem była nasza partyjna twierdza. Przed dwoma tygodniami twierdzę tę władze policyjno żandarmskie przy asyście dwóch pułków wojska trzymały w oblężeniu 24 godzin, szukając broni i amunicji. Rewizja dała moskiewskim stupajkom pewien sukces — znaleźli lokalną drukarenkę partyjną i pewną ilość amunicji.

Cały zapas ładunków został utopiony w kanałach i nie dostał się do rąk moskiewskich.

Jadąc do Rakowa, po drodze spotkałem dwóch moich znajomych z Ostrowca, nieżyjącego już Michała Urbańskiego i Karola Dobora.

Zadowolony byłem, że nie poznali mnie, niebawem dowiedziałem się że obydwa są bliskimi naszymi sympatykami.

Przyjechaliśmy do mieszkania tow. Barona, członka Okręgowego Komitetu Częstochowskiego.

Tow. Ludwik, po zapoznaniu mnie z miejscowymi towarzyszami, wrócił zpowrotem do Częstochowy, mnie zaś zostawił na noc w Rakowie.

Po pobieżnem zorientowaniu się w sytuacji miejscowej, zdecydowałem na drugi dzień zebrać poszczególnych ludzi, celem skompletowania przynajmniej jednej szóstki.

Na noc zatrzymałem się u wymienionych znajomych z Ostrowca, u nich narazie zamieszkałem aż do wyjazdu z Częstochowy tow. Ludwika i Pawła. Po paru dniach zorientowałem się dokładnie w stanie organizacji, i nawiązałem organizacyjne znajomości z szeregiem towarzyszy i towarzyszek.

Po odbytem zebraniu udało mi się stworzyć jedną szóstkę z luzem chodzących bojowców, którzy byli w Organizacji Bojowej, ale z różnych powodów szóstki ich rozpadły się.

Na czele pierwszej szóstki stanął tow. Kmicie — Wcisło Wiktor, później komisarz Kasy Chorych w Tomaszowie Mazowieckim; w szóstce tej był również obecny generał Janusz Głuchowski, wówczas bardzo młody człowiek. Rodzina państwa Głuchowskich niemal cała oddawała partji bardzo duże usługi.

Oczywista, po zorganizowaniu pierwszej szóstki, trzeba było zająć się usunięciem przeszkód policyjno-szpiewalskich dla wydziału agitacyjnego. W ciągu krótkiego czasu dokonano zamachów na 5 policjantów, jednego żandarma i jednego szpieła. Po pewnym uporządkowaniu Organizacji Bojowej w Częstochowie, udałem się do Zawiercia, gdzie zastałem jedną istniejącą szóstkę i kilku bojow-

ców luzem chodzących. W stosunkowo krótkim czasie miałem na terenie Zawiercia dwie szóstki.

Do Okręgu Częstochowskiego wchodziły również Radomsk i Piotrków. W tych dwóch miastach nie udało się zbudować Organizacji Bojowej, natomiast w Kamińsku pod Radomskiem zorganizowałem jedną szóstkę. Ogółem, na terenie okręgu, miałem 2 szóstki w Częstochowie, 2 w Zawierciu, i jedną w Kamińsku.

Do drugiej szóstki "należał" również niejaki Sukiennik, słynny prowokator z 1908 roku. Po zorganizowaniu linii, trzeba było pomyśleć o stronie technicznej Bojowej Organizacji. Po zapoznaniu się z tow. Marją Kobierzycką udało mi się wciągnąć przy jej pomocy do przewożenia broni i bomb tow. Marję Gliksonównę, obecnie tow. Mańkiewiczową. Z każdym dniem zdobywałem sobie nowe mieszkania na biura i nowych znajomych . . .

Na terenie Częstochowy mieszkał wówczas tow. Dr. Michałowicz, którego mieszkanie było rozkonspirowane. Unikałem go, jak również mieszkania tow. Rysia — Domańskiego.

Cały wolny czas spędzałem u ciotki tow. Gliksonówny, p. Hantowerowej. Mieszkanie to było przezemnie bardzo skrzętnie ochraniające przed towarzyszymi z agitacji.

Na czele roboty agitacyjnej stali tow. tow. Uziembło i Jaworowski. W czasie tym trwały jeszcze po okręgach konferencje rozładowe.

W końcu marca spotyka mnie tow. Jaworowski w biurze i komunikuje, że tego wieczoru ma konferencję partyjną w Radomsku, bardzo usilnie zapraszał mnie na nią, tłumacząc, iż ze strony "lewicy" będzie cały tuzin funkcjonariuszy.

Wy tłumaczyłem mu, że nie mogę rozkonspirowywać się w robocie agitacyjnej i odmówiłem wyjazdu z nim.

Na drugi dzień otrzymałem informacje, że całą konferencję aresztowano wraz z szeregiem funkcjonariuszy partyjnych. Między innymi aresztowano tow. Jaworowskiego, Uziembłę, i Filipiaka, z tym ostatnim pracowałem w Ostrowcu. Aresztowanie kierowników agitacyjnych było dotkliwym ciosem dla partji. Po paru jednak dniach z pewnym wysiłkiem lukę, spowodowaną aresztowaniami, zapełniono.

Wspominałem o Sukienniku, który w dwa lata po moim aresztowaniu stał się bardzo niebezpiecznym prowokatorem. Człowiek ten był dłuższy czas przemytnikiem naszej bibuły a nawet i broni, którą z Górnego Śląska przewożono do "kraju."

Trzymałem go bardzo daleko od konspiracyjnych mieszkań. Dziwnie nie miałem do niego zaufania. Później dziwiło mnie bardzo, że człowieka tego posłano do szkoły instruktorskiej do Krakowa i dopuszczono do poufnych spraw. Zostałem go w organizacji, przeto tolerowałem. Sukiennik bał się mnie, jak ognia, widział, jak własnonęcznie usuwałem za różne przewinienia tych, którzy ośmielili się brukać sztandar Partji.

Widziałem go raz jeden na "robocie" a było to tak. W dwa

tygodnie po moim zainstalowaniu się w Częstochowie, tow. Marja Paszkowska przywiozła mi zlecenie z wydziału, żeby wydestać 1000 rubli. Naprędcę zrobiłem wywiad w okolicy i postanowiłem udać się z bojowcami za Olsztyn do rządowej leśniczówki gdzie był duży targ drzewem rządowem.

Wziąłem z sobą tow. tow. : Weisłę, Głuchowskiego, Góralczyka i Sukiennika. Ten ostatni wynajął furmankę w Częstochowie. Rozstawiliśmy się na drodze do Olsztyna w odległości pół kilometrowej, wsiadaliśmy na wóz jako zdążający do domów na święta robotnicy z Częstochowy. Furman nie podejrzewał wcale, kogo wiezie. Żabawne było, jak każdy z nas prosił furmana, żeby za wynagrodzeniem zabrał nas z sobą ; furman miał ochotę, ale każdorazowo pytał się tego, co wynajął, czy pozwoli, ten z pewnem wahaniem pozwalał.

Nie dojeżdżając do Olsztyna, kolejno schodziliśmy z fury, podążając w umówione miejsca. Stamtąd udaliśmy się piechotą do leśniczówki, odległej od Olsztyna o 2 — 3 kilometry.

W czasie akcji jakiś gajowy wymknął się do lasu, nie robiliśmy z tego powodu żadnego użytku z broni, licząc na to, że nie zdąży zrobić alarmu.

Po skończonej akcji, gdyśmy szli przez wieś, nagle na skrócie ulicy z za jakiegoś domu ukazało się 5 dubeltówek, wymierzonych w nas i rozległ się okrzyk : " Ręce do góry ! "

Sukiennik, który szedł na przodzie, jako że znał drogę, skoczył jak oparzony wtył. Ja w oka mgnieniu zarepetowałem mauzera, krzykiem zmuszając Sukiennika do zatrzymania się. Sukiennik, błąd jak trup, osłupiałym wzrokiem spojrział na mnie. Jednocześnie wydałem komendę : strzelać w górę ! Chodziło mi o to, żeby gajowych nie zabijać. Efekt był wspaniały — gajowi " nogi za pas i w las," a my, wystrzelivszy jeszcze po kilka razy, poszliśmy swoją drogą.

Takim był Sukiennik ; ale jak widział, że inni stoją i strzelają, był zwierzęco okrutny w czasie akcji, o czem przekonałem się w parę dni później w innym miejscu.

CIEŻKIE CHWILE

" Prowokatorzy Dyrec i Sankowski zostali zgładzeni." Tak brzmiała wiadomość z Warszawy, przywieziona przez Marję Paszkowską. Członkowie Wydziału Bojowego Ludwik i " Paweł " opuścili gościnne progi Częstochowy, udając się zpowrotem do Warszawy. Na wyjazd ten czekałem, gdyż miałem przyobiecany pokój po Pawle — Dąbkowskim.

W dwa dni po ich wyjeździe natknąłem się na oddział kawalerji, zdążający z pułkownikiem żandarmów Potockim na czele z Częstochowy do Rakowa na rewizję . . .

Wracałem około godziny 10 i pół wiecz. z wykładów z Rakowa w towarzystwie tow. Rysia-Domańskiego do domu. Jechaliśmy

fabrycznymi końmi, które otrzymaliśmy przez tow, Głuchowskiego (ojca); noc była przecudna, choć mroźna.

Rosłe konie szły szybko w stronę miasta, aż tu, nie dojeżdżając do Częstochowianki, woźnica nasz gwałtownie zatrzymał konie i z trwogą w głosie rzucił w naszą stronę: "dragoni! . . ."

Nie zdążyliśmy ochłonąć z pierwszego wrażenia, gdy usłyszeliśmy głos: "Stój, kto jedzie!?"

W mgnieniu oka sanie nasze otoczyli żandarmi, świecąc nam w twarz elektrycznymi latarkami.

Towarzysz Ryś gwałtownie coś w kieszeni niszczy . . . Podjechał do nas w towarzystwie starszego żandarma podpułkownik Potocki; z miną uprzejmą zapytuje:

"Kak wasza familja." "Jak się panowie nazywacie." —

Tow. Ryś pierwszy podaje swoje nazwisko "Domański"

Starszy żandarm przygląda się Rysiowi, poczem uprzejmie wita go "Dobry wieczór "gospodin" "Domański"; Ryś uśmiechnięty odpowiada. Zkolei groźne oblicza żandarmów skierowują się w moją stronę.

"A pan jak się nazywa?"

Podalem nazwisko, które otrzymałem wraz z fałszywym paszportem — "Kwiatkowski."

"Skąd pan jest?" —

"Z Łodzi" — brzmiała odpowiedź.

"Co! z Łodzi? a my tu 'swoich' mamy pełno! — Proszę o paszport!" —

"Nie mam paszportu, gdyż w dniu dzisiejszym dałem paszport swój do zameldowania w policji."

"Gdzie pan mieszka?" — groźnie pyta Potocki.

Na groźny ton żandarma odpowiadam tonem obrażonego obywatela, któremu zakłócają spokój i swobodę ruchów! . . .

Ostry mój ton zdetonował p. Potockiego. Zaczął się usprawiedliwiać, że czasy są niespokojne, że ja sam jestem winien, bo nie mam paszportu przy sobie, i t. p.

Widząc chwiejność żandarma, zacząłem protestować z powodu osobistej rewizji. Nastąpiła krótka pauza — poczem żandarm wydał zlecenie, żeby Rysia puścić do domu, a mnie zabierają żandarmi do swoich sani zpowrotem do Rakowa.

Wojsko i policja otoczyły domy administracji fabrycznej, rozpoczynając rewizję od naczelnego dyrektora Surzyckiego, kończąc zaś na zwykłych urzędnikach.

Mnie ulokowano w poczekalni głównego biura, dając mi do asysty 6 dragonów.

Rewizja trwała do godziny 4 rano, ale nie dała żadnego wyniku. Po skończonej rewizji w domach administracji fabrycznej podpułkownik Potocki w otoczeniu żandarmów wszedł do poczekalni, gdzie mnie zatrzymano. Oblicze carskiego wygi było posępne i złe z powodu doznanego zawodu.

Jak tylko go zobaczyłem, zacząłem kląć na bezprawie i t. p.

Żandarm, nie wiedząc co ma robić ze mną, po pewnym namyśle odwołał jednego z żandarmów, wydając mu jakieś polecenie.

Żandarm podszedł do mnie z oznajmieniem, że pojedziemy do miasta, by sprawdzić w cyrkule, czy istotnie dałem swój paszport do zameldowania. Po drodze żandarmi rozpowiadali mi o badaniach w czasie rewizji w domu państwa Głuchowskich.

Badania te tyczyły mojej osoby. Towarzysz Głuchowski (ojciec) zeznał, iż mnie zna bardzo mało, gdyż od paru dni jestem we fabryce asystentem przy martynowskich piecach. To samo zeznali dyrektorzy.

Dla zalegalizowania się, każdy z nas starał się o jakieś fikcyjne zajęcie, by upozorować legalne przebywanie w mieście w sensie zameldowania dowodu osobistego w policji.

Po przyjeździe do miasta, zamiast do cyrkułu, żandarmi zawieźli mnie do mojego mieszkania, celem dokonania w niem rewizji.

Prosiłem ich, żeby odłożyli rewizję do rana, tłumacząc, iż przykro mi budzić moich nowych gospodarzy, u których przed dwoma dniami wynająłem pokój.

Istotnie, zależało mi na tem, by uchodzić za człowieka "legalnego," a tu akurat od rewizji zaczynam swój pobyt w nowem mieszkaniu ! . . .

Argumenty moje nie zdołały przekonać żandarmów, obudzili dozorcę domu, który z przerażeniem patrzył na to, co się dzieje.

Jeden z żandarmów zapytał dozorcę, czy mnie zna. Dozorca bez wahania odpowiada : "A juści znam, to nasz nowy 'lekatur' który mieszka na II-giem piętrze."

Bramę kazano zamknąć dozorczy, poczem całą gromada udała się do mojego mieszkania — pokój miałem z osobnem wejściem prosto ze schodów ; dzięki temu nie robiono u moich gospodarzy rewizji, tylko u mnie.

Otworzyłem pokój — żandarmi przeprowadzili bardzo szczegółową rewizję ; oczywiście, nic nie znaleźli.

Bardzo ich interesowało, dlaczego mam tak dużo różnych kapeluszy i czapek. Wyjaśniłem im, że lubię się "ubierać," przeto mam pewien zapas.

W istocie, czapki i kapelusze były potrzebne przy zamachach terrorystycznych. Po skończonej rewizji, zabrali mnie do cyrkułu, widać, iż mieli przecucie, że jestem "ptaszek," jak się jeden wyraził. W cyrkule okazało się, że paszport mój jest.

Trzymają mnie całą godzinę — widzę, że grzecznością nie nie wskóram, zacząłem tedy awanturować się. Gdy wrócił z Rakowa podpułkownik Potocki, żandarm porozumiał się ze swoją władzą i stamtąd otrzymał zlecenie wypuszczenia mnie na wolność.

Jak się później dowiedziałem, trzymano mnie dlatego, że przypuszczano, że rewizja w domach robotniczych da im coś, cohy mnie skompromitowało.

Przyznaję, że byłem trochę zaniepokojony, czy czasem starszy

szóstki nie wpadnie z browningami, które u niego pozostały po ćwiczeniach.

Podpułkownik Potocki stanowczo nie miał szczęścia. Zmarował noc i nic nie znalazł!

Na drugi dzień rano cała organizacja w Rakowie zaalarmowana została mojem aresztowaniem.

Radość była wielka, gdy po południu przyjechałem do Rakowa cały.

Ubawiliśmy się co niemiara z głupoty carskich żandarmów. Po tej rewizji dwaj żandarmi, którzy asystowali mi przez całą noc, przy spotkaniu na ulicy, kłaniali mi się bardzo grzecznie. Czulem, że pod tą uprzejmością kryje się ordynarne szpiclowanie moich ruchów w Częstochowie.

Po tygodniu przyszedłem do wniosku, że Częstochowa jest zbyt mała, żeby można było swobodnie chodzić na różne zebrania, kiedy jest się śledzonym. Uznałem stan ten za niemożliwy i w porozumieniu z okręgowcem z Zagłębia, tow. Zenonem — Klempińskim, wydałem polecenie bojowcom, by panów żandarmów usunąć.

Rozkaz mój był w parę dni wykonany przez szóstkę towarzysza-Kmicica — Wcisło. W zamachu tym brał udział również i Sukienik, który pastwił się nad żandarmami w sposób ohydny. Nie przeszkodziło mu to później stać się prowokatorem.

Pracowałem dalej.

Jakkolwiek należałem, jako bojowiec, do tak zwanej linii, to jednak stale szukałem czegoś, co daje wiedzę i pełną świadomość tego, że cała nasza praca rewolucyjna musi opierać się na klasie robotniczej, która była i będzie "bazą operacyjną" przyszłego powstania przeciwko caratowi.

Widziałem, jak w miarę zmniejszania się ruchu rewolucyjnego rzędły szeregi, tak zwanych sympatyków, udzielających swoich mieszkań na partyjne zebrania.

Jedynie proletariąt stał niewzruszony, przy swojej partji. W drugiej połowie kwietnia otrzymałem zlecenie z Wydziału, by dostarczyć znaczną liczbę blankietów paszportowych, albowiem po wyspach Dyrcza i Sankowskiego, trzeba było zmienić wszystkie adresy meldunkowe.

W dniu 22 marca wydałem dyspozycję towarzyszom częstochowskim, gdzie mają iść, by zdobyć potrzebne blankiety. Sam zaś rano miałem wyjechać do Zawiercia, by z najmłodszą szóstką iść na robotę.

Zamówiłem sobie jednego z towarzyszy by przywiózł mi naboi do mauzera i browningów, gdyż pierwszym pociągiem miałem wyjechać z Częstochowy do Zawiercia.

Do dnia dzisiejszego nie wiem, z jakich powodów towarzysz ten nie stawił się na umówiony czas i miejsce.

Okoliczność ta zaważyła bardzo poważnie na przebiegu akcji, Wskutek braku naboju zostałem aresztowany w dniu 23 kwietnia 1907 roku.

ARESztOWANIE

Pragnąc zadośćuczynić instrukcji Wydziału Bojowego, zmuszony byłem rozplanować akcję pomiędzy istniejące szóstki — tak, by jak najwięcej zdobyć książeczek paszportowych. Rankiem, dnia 23 kwietnia 1907 roku z niecierpliwością oczekiwałem towarzysza z nabojami; w miarę przybliżania się godziny odjazdu z Częstochowy do Zawiercia na "robotę," coraz bardziej denerwowałem się jego nieobecnością, boć miał on przywieźć tak pilne naboje do mauzera i browningów.

Raz po raz rzucałem okiem na zegarek, mierząc krokami tam i zpowrotem pokój. Dzień był pogodny — słońce wdzierало się do każdego zakątka mojego mieszkania.

Pozostało 15 minut; czekam jeszcze chwil kilka — napróżno! Raz jeszcze rzuciłem okiem po wszystkich kątach pokoju, czy czasem "coś" nie pozostało.

Nie mogę się doczekać. Wybiegłem pospiesznie z mieszkania na dworzec kolejowy, naprzeciwko domu. Kupiłem bilet i wsiadłem do wagonu. Po wejściu do wagonu otworzyłem okno w tem przekonaniu, że może nadejdzie — niestety nie nadszedł! Dzyń, dzyń, dzyń, ruszamy.

Zaledwie ruszył pociąg, zacząłem rozmyślać o mającej się odbyć akcji. Wprawdzie nie mam odpowiedniej ilości nabołów, ale niepodobna — myślałem — odkładać, "roboty," bojowcy gotowi pomyśleć, że stchórzyłem. Pomimo wszystko muszę "robotę" zrobić, tyle razy udawało się, dlaczego akurat dziś, kiedy nie mamy odpowiedniej ilości nabołów, ma być inaczej! . . .

Zawiercie! Wsiadam, udaję się na umówione miejsce, gdzie mieli mnie oczekiwać bojowcy. Po kilku minutach byłem już w otoczeniu bojowców. Po przywitaniu się, obejrzałem wszystkie browningi, czy aby są w porządku, a gdy skonstatowałem, że tak jest, rozdzieliłem po 15 nabołów na każdą "maszynę." poczem dwójkami wyszliśmy z mieszkania, idąc w kierunku Wadowic, miejscowości, gdzie mieliśmy zacząć akcję.

Na polach zeszlśmy się znów razem i tak szliśmy aż do samych Wadowic. Przed Wadowicami wysłałem dwóch bojowców bez broni na wywiad. Po pół godzinie zjawili się z wiadomościami "sytuacyjnymi."

Z wiadomości tych wynikało, że w miasteczku było 4 policjantów i straż ogniowa.

W samem miasteczku policjanci przeszli koło nas, nie pytając o paszporty.

W pierwszej chwili myślałem, żeby ich zastrzelić, ale po namyśle zrezygnowałem z tego zamiaru.

Przeszliśmy jakiś plac, udając się do gminy. Do lokalu weszliśmy około godz. 9-ej. Wójt próbował oponować, ale pod wymow-

nem żądaniem 6 browningów, skierowanych w jego stronę, otworzył kasę, z której wyjęliśmy 80 sztuk książeczek paszportowych i pieczęć wójta. Przy otwieraniu kasy wezwaliśmy jeszcze dwóch świadków, by byli obecni, że pieniędzy, które są własnością gminy, nie bierzemy. W czasie, gdy pisałem niebieskim ołówkiem pokwitowanie w imieniu bojowej organizacji P. P. S., bojowcy zajęli się gorliwie niszczeniem portretów carskich.

Po zakończeniu akcji w gminie, udaliśmy się za jednym zachodem do sklepu monopolu wódczanego, gdzie zabraliśmy zawartość kasy i poniszczyliśmy portrety i pewną ilość wódki, poczem zaczęliśmy pośpiesznie odwrót w stronę Zawiercia.

Zaledwie zdążyliśmy przejść około 300 metrów, gdy usłyszeliśmy alarm w całym miasteczku. Co żyło, ruszyło za nami.

Z dzwonnicy kościelnej rozległ się dzwon na trwozę. Pościgiem kierowali policjanci i jakiś miejscowy sklepikarz żyd, który wziął nas za zwykłych bandytów, jak zresztą i wszyscy mieszkańcy.

Towarzysze moi zaczynają coraz szybciej biec. Widząc taką sytuację, pod groźbą rozstrzelania uciekających, wstrzymałem chaotyczny odwrót, zmuszając wszystkich iść razem.

W miarę oddalania się naszego, coraz zuchwalsi byli nasi przeciwnicy, szczególnie policjanci.

Widowisko było dość oryginalne: z jednej strony nas siedmiu, z drugiej strony tłum ludzi z policjantami na czele, tłum ten z każdą minutą wzrastał w miarę przeciągania się pościgu, przybywali chłopci pracujący na polu.

Szliśmy we względnym porządku jakieś 2 do 4 kilometrów. Od czasu do czasu dawaliśmy salwy na postrach. Ponieważ nabojów mieliśmy mało, coraz rzadziej strzelaliśmy. To rozzuchwaliło naszych przeciwników, którzy konno z orczykami w rękach zaczęli nas okręzać.

Widząc taką sytuację, zażądałem dwóch magazynów z nabojami od dwóch bojowców, wydając wszystkim polecenie, by całą szóstką zdążyli do pobliskiego lasu. Zarządzenie to wydałem dla tego, że 4 chłopów co koń wyskoczy pędziło do Zawiercia, by ztyłu nam przeciąć odwrót przez postawienie na nogi policji i kozaków w Zawierciu. Bojąc się, by nie złapali nas wszystkich, — szczególnie chodziło mi o dwóch młodych robociarzy, którzy przy biciu mogliby wyspać, — wołałem sam zasłonić ich odwrót, byle żaden z nich nie wpadł w ręce policji.

Mogłem coprawda z punktu, bez żadnych skrupułów, strzelać w tłum, ale nie mogło mi przez gardło przejść polecenie strzelania do głupich i obalamuconych ludzi.

Mając już większą ilość nabojów, zacząłem częściej strzelać. Oczywiście, strzelałem w powietrze. Strzelając, doszedłem do jakiegoś pagórka. Płaszcz rzuciłem, w jedną stronę, kapelusz w drugą. zacząłem szybko strzelać. Tłum i policjanci narazie nie zorientowali się, że to ja jeden jestem.

Obejrzałem się poza siebie, moi bojowcy już byli daleko. Na jedną sekundę odetchnąłem.

Coraz mniej było nabojów, strzelałem coraz rzadziej. Stan ten rozzuchwalał coraz bardziej tłum, który zaczął nacierać na mnie coraz pewniej.

Podniosłem się, poczem szybko zacząłem zdążać ku lasowi. Sylwetki moich towarzyszy ledwie dostrzegalne były już pod samym lasem.

Dopóki miałem naboje, było wszystko w porządku, ale nabojów tych coraz mniej było w mojem posiadaniu. W pewnym momencie wyjąłem magazyn: zobaczyłem, że pozostały jeszcze 3 naboje. Postanowiłem żywcem nie oddać się. Ostatnie kula dla mnie. Traf chciał, że dwie ostatnie kule miały jakiś defekt, bo kapiszony wystrzeliły, ale naboje nie eksplodowały. Po wystrzeleniu ostatniego naboju, stanąłem pod jakimś drzewem, trzymając w rękę browning, szykując się do obrony. Gdy tłum stanął o parę kroków przedemną, próbowałem do niego przemówić.

Niestety! Policjanci zbliżają się do mnie. Nagle z boku ktoś uderzył mnie w bok jakimś grubym kijem, syknąłem z bólu — patrzę — a to ów sklepikarz. W oka mgnieniu podskoczyłem do niego, wymierzając mu lufą browninga uderzenie pomiędzy oczy. Krew zalała mu twarz. Zanim zdążyłem odwrócić się, byłem już selwytany. Posypały się razy ze wszystkich stron. Chwil kilka bronilem się resztkami sił — napróżno. Zostałem aresztowany.

Po paru minutach nadjechał patrol kozacki, który odprowadził mnie do urzędu gminnego, gdzie spisano pierwszy protokół. W czasie odwrotu zniszczyłem paszport w obawie, żeby policja nie znalazła mojego mieszkania. Bałem się żeby policja nie trafiła na ślad Pawła — Dąbkowskiego, po którym wynająłem pokój, a u którego bywałem i gdzie widziała mnie służba.

Na zapytanie starszego strażnika policyjnego, jak się nazywam, podałem się za Jana Kwapińskiego z Włocławka. I od momentu aresztowania nazywam się Jan Kwapiński.

Po spisaniu pierwiastkowego protokołu, zostałem przewieziony przez kozaków na wynajętej furze z Wodowic do Zawiercia. Kozacy bili mnie przez całą drogę w straszny sposób. Gdy przywieziono mnie do Zawiercia, odległego o 5 kilometrów, byłem kompletnie nieprzytomny.

Pastwili się nade mną kozacy za to, że inna moja szóstka w Porembie, w tym samym czasie, zabiła kozaka i konia.

Ponieważ przyznałem się, że ja kierowałem tą akcją, przeto kozacy czynili mnie odpowiedzialnym za to i za tamto. O godz. 6-tej — wieczorem przywieziono mnie do miejscowego więzienia, skatowanego w okropny sposób, i ulokowano w jakiejś piekielnie brudnej celi na 1-szem piętrze. Dali mi jakiś brudny siennik z milionami robactwa zamiast pośłania.

PIERWSZA NOC W WIĘZIENIU

W dwie godziny po zamknięciu mnie w celi więziennej, zjawili się patrol kozacki, ze starszym policjantem na czele, dla przeprowadzenia mnie na badanie śledcze do miejscowego naczelnika straży ziemskiej. Byłem tak pobity, że o własnych siłach nie mogłem ustać. Dwóch kozaków podniosło mnie i przemocą wyprowadziło z więzienia na badanie — było już późno w nocy. Po drodze bito mnie kolbami. W samym budynku naczelnika policji, przy wejściu na 1-sze piętro stojący na warcie kozak uderzył mnie tak silnie kolbą w twarz, że potoczyłem się ze schodów i runąłem jak długi na podłogę.

Na mój krzyk wybiegł naczelnik policji i zgromił kozaków za to, że mnie bili. Twarz miałem zalaną krwią, odnosiłem wrażenie, że wybili mi lewe oko.

Po wejściu do kancelarii, naczelnik policji polecił kozakom i strażnikowi wyjść z pokoju. Pozostałem z nim sam na sam.

Rozpoczął badania od ustalenia mojej tożsamości, podałem tak samo jak w Wodowicach, że nazywam się Kwapiński, że jestem z Włocławka.

Pan naczelnik ironicznie zapytał, czy nazwisko, które podałem jest prawdziwe czy też partyjne ?

W odpowiedzi odparłem, że nazwisko, które podałem jest moje własne, a nie partyjne.

Po zapisaniu moich generalij rozpoczął indagacje bardzo szczegółowe o stanie organizacji i t. p. Na wszystkie pytania miałem, dwie odpowiedzi, zależnie od okoliczności — nie wiem, albo nie powiem !

A kiedy policjant wręcz zaproponował “sypać,” wówczas resztkami sił, zaprotekowałem energicznie przeciwko metodzie badania i wyniosłem zapytałem go, czy on, jako oficer, zgodziłby się wydać tajemnice swojej armji —

W odpowiedzi usłyszałem — nigdy !

— To jakim prawem śmie pan żądać ode mnie tego, czegobyś pan sam nie zrobił — jesteś pan oficerem armji rosyjskiej, ja zaś oficerem polskiej rewolucyjnej armji.

Naczelnik stropił się, zaczął przeproszać mnie, tłumacząc się, że chce tylko uchronić mnie od niechybnej śmierci, albowiem obowiązują sady wojenno-polowe. Szczere przyznanie się wskazanie innych, złagodzi karę.

Oświadczam, że akcją kierowałem, że jestem instruktorem Bojowej Organizacji, ale nic ponadto nie powiem ! — rozumie pan czy nie !

Policjant w zakłopotaniu wybełkotał :

“ Naturalnie rozumiem, wszystko rozumiem.”

Po spisaniu protokołu śledczego, odprowadzono mnie zpowrotem do więzienia. Jaką rozmowę miał naczelnik z kozakami i ze

strażnikami — nie wiem, w każdym razie przez całą powrotną drogę nie bili mnie już.

Po przyjsciu do celi siadłem na narach kompletnie złamany z wyczerpania. Nie byłem w stanie zastanowić się nad tem, co mnie spotkało, czułem okropny ból w całym ciele. Jak długo w takiej pozycji siedziałem, nie pamiętam.

Położyć się nie mogłem, bo mnie wszystko bolało, noc wydała mi się wiecznością. W parę miesięcy potem rozumiałem tych, którzy po katowaniu w aresztach policyjnych, sypali. Trzeba było mieć bardzo dużo siły i woli, by wytrwać. Piszę wszak o tych przeżyciach po 20 latach, a jednak, jakie to wszystko jest świeże w mojej pamięci. Kiedy przypominam sobie okoliczności, w jakich byłem aresztowany — stoją przede mną jak żywe, dzikie twarze kozaków, ich beznadziejna tępota, z jaką wykonywali swoje czynności.

Rankiem następnego dnia zjawił się felczer, obmył mi rany i zrobił opatrunek twarzy. Dowiedziałem się od niego, że pod lewym okiem mam rozciętą twarz, ale oko nie jest uszkodzone. Po wyjściu felczera podano mi kubek herbaty i kawałek chleba ze szmalcem. Na zapytanie, skąd podano, klucznik oznajmił mi, że podano mi z sąsiedniej celi.

Później dowiedziałem się, że w celi tej siedziały jakieś niewiasty. Około 11 przed południem zjawił się sędzia śledczy, któremu przekazano sprawę. Badania były krótkie, powtórzyłem, że nic ponadto, com powiedział naczelnikowi policji, nie powiem. Sędzia zapisał moje oświadczenie do akt sprawy i polecił fotografowi sfotografować mnie.

Fotografja moja była czemś tak nieprawdopodobnem, że trudno było uwierzyć, by człowiek mógł tak wyglądać. Rysów twarzy, oczywista, żadnych, jedna maska w bandażach. Ta okoliczność ułatwiła mi ukrywanie się przed różnego rodzaju prowokatorstwem.

Tego samego dnia o godzinie 5 po południu zostałem przewieziony z Zawiercia do Będzina w asyście 15 kozaków. Cała ulica, od więzienia aż do dworca w Zawierciu, była obsadzona szpalerem kozaków.

W Będzinie posadzono mnie do niewielkiej celi razem z kryminalistami. W celi tej siedziałem parę godzin. Złodziejom imponowało to, że, pomimo bicia, nikogo nie wsypałem. Miałem wśród nich ustaloną reputację mocnego człowieka. Reputacja ta szła za mną po przez wszystkie więzienia.

Muszę szczerze wyznać, że ludzie, z którymi spędziłem te parę godzin w jednej celi, okazywali mi dużo serca. Byli to znani bandyci z szajki, słynnego na całą b. gubernję Piotrkowską Krwawnika. Wyróżniał się wśród nich jeden, którego wszyscy niewolniczo słuchali; był to rosty, przystojny mężczyzna, prawa ręka swojego atamana, nazywał się Trocha. Przy jego pomocy zawiadomiłem organizację o mojem aresztowaniu i miejscu pobytu. Na drugi dzień otrzymałem od miejscowych towarzyszy obiad i wszelką żywność do więzienia. Więzienie Będzińskie słynne było z brudów i robact-

wa. Wszy będzińskie znane były na cały kraj, jako "największe," w celach brudno, w siennikach aż się roiło od robactwa.

Zaraz po wprowadzeniu mnie do celi, zażądałem siennika z nową słomą. Tak zwany "smotritiel"* więzienia bał się tych bandytów, — to też zrobił wszystko, co oni chcieli. Otrzymałem dobry nowy siennik, któryś z nich oddał mi swoją poduszkę. W ciągu nocy kilka razy dawano mi herbatę. Późno w nocy zasnąłem, obudziłem się nad ranem o świcie, — ściśle biorąc, obudził mnie huk wystrzałów karabinowych — to rozstrzeliwali skazanych na moey sądu wojenno-polowego na dziedzińcu więziennym!

Echa salw karabinowych, na dziedzińcu więzienia wskazywały między innymi i mnie, że tuż za ścianą celi więziennej rozstrzygnie się mój los, tak samo, jak tamtych, którzy już nie żyją! . . .

Chory, zbolący fizycznie, nie byłem w stanie reagować moralnie na to okrucieństwo, które boleśnie odbiło się na wszystkich, siedzących ze mną.

W parę dni później dowiedziałem się, że po takiej nocy ludzie dochodzili do obłędu, szczególnie w tych celach, których okna wychodziły na tę część podwórka, gdzie mordowano ludzi.

Ból dokuczał mi okropnie, w duszy pragnąłem, żeby jak najprędzej kaci cara postawili mnie pod słupem. Zdawałem sobie sprawę, że w takim stanie łatwiej mi będzie umierać . . .

O godzinie 9-tej przeniesiono mnie do innej celi, a ponieważ byłem zupełnie bezwładny, dano mi małego żydka "doliniarza" do obsługi.

W godzinę później zjawił się u mnie Dr. Dyner, zbadał mnie szczegółowo, w czasie badania prawie szeptem zapytał, za co zostałem aresztowany. Powiedziałem mu, że jestem instruktorem bojówki, że złapano mnie na robocie. Później dowiedziałem się że jemu zawdzięczam życie, albowiem Dr. Dyner, jako powiatowy lekarz, wydał orzeczenie, że dni moje są policzone, że o własnych siłach nie mogę stać na nogach. Dzięki temu nie stanąłem natychmiast przed sądem polowym.

W tym samym czasie w Dumie petersburskiej rozpatrywano sprawę zniesienia stołypinowskiego "ukazu" o sądach wojenno-polowych; istotnie, 10 maja Duma zniosła drakońskie prawo o sądach polowych. W parę dni po zniesieniu sądów polowych, (o czem nie wiedziałem) wstałem z pościeli i podszedłem do okna z zamiarem zbadania, czy czasem nie udałaby się ucieczka. W tym samym czasie przechodził korytarzem "smotritiel," otworzył okienko i zobaczył mnie stojącego. Dał znać w ładzom powiatowym — w niespełna godzinę zjawił się w mojej celi prokurator i cały szereg innych stupajek carskich, by naocznie przekonać się że żyję, a zatem mogę stanąć przed sądem polowym.

Po tej wizycie żyłem 6 dni w niepewności nie wiedząc czy stanę przed sądem polowym czy zwykłym sądem wojennym.

* Pełniący obowiązki naczelnika więzienia.

Wreszcie spór pomiędzy gubernatorem wojennym a cywilnym w Piotrkowie, rozstrzygnął generał gubernator Skalon na korzyść cywilnego gubernatora, który w przeciwieństwie do wojennego utrzymywał, iż niema prawa o sądach polowych, przeto muszę podlegać zwykłym wojennym sądom, a nie wojenno-polowym.

Po wyjaśnieniu, komu podlega moja sprawa, zostałem przewieziony do dyspozycji sędziego śledczego do szczególnych spraw przy Piotrkowskim Sądzie Okręgowym. Przed wywiezieniem mnie z Będzina otrzymałem informacje, że osadę Wodowice spalono i że starszy strażnik, w obecności którego bili mnie kozacy, został zabity. Żyd sklepikarz uciekł zagranicę. W związku z zabiciem starszego strażnika w Zawierciu, aresztowano młodego chłopca, towarzysza Konrada Bronisława, którego oskarżono o to, iż widział, kto strzelał do strażnika. Przywieziono go pod silną eskortą do Będzina.

Czułem się już znacznie lepiej. Chodziłem swobodnie po celi. Dałem znać o nowym więźniu politycznym "na wolność," skąd na drugi dzień przyniesiono mu obiad.

Traf chciał, że w dwa czy też trzy dni po przywiezieniu Konrada, zasypał się dozorca z "grypsankami" (listy). Między innymi była grypsanka do mnie, w grypsance tej pisano mi o przygotowaniach do ucieczki i t. p.

Nocą tego samego dnia zostałem przez 6 żandarmów przewieziony do Piotrkowskiego więzienia.

ŚLEDZTWO

W piotrkowskim więzieniu ulokowano mnie na parę godzin w tak zwanym "mecu" u Mikołajczyka.

"Mecem" zwano kilka cel w suterrenach, w których siedzieli więźniowie po przybyciu do więzienia.

Osobliwością "mecu" był znany na całe więzienie dozorca Mikołajczyk. Złodzieje bali go się, jak ognia.

Pamięć wzrokową miał nadzwyczajną, zdarzały się wypadki, że po kilkunastu latach poznawał więźnia, który zjawił się do Piotrkowa pod przybranym nazwiskiem.

Mikołajczyk więźniów dzielił na trzy grupy — na "polityków," "smoluchów" i na "szubranych" ("szubranym" nazywano każdego, kto kradnie, w odróżnieniu od "frajera," u którego kradną).

Podczas kilkomiesięcznego przebywania w piotrkowskim więzieniu lubiłem prowadzić rozmowy z Mikołajczykiem, szczególnie po przybyciu nowej partji więźniów.

Rozmowy prowadziłem na tak zwanem "sybirackiem" pod wórku podczas spaceru. Zwykle po skończonej rewizji Mikołajczyk wychodził na podwórko, klnąc na czem świat stoi na psią służbę. Wówczas podchodziłem do niego z zapytaniem — ilu przybyło "politycznych."

Mikołajczyk narazie niechętnie odpowiadał, ale że był gadatliwy, więc wszystko wyśpiewał.

Wieczorem w dniu przybycia mego do więzienia, zjawił się u mnie znany licznym towarzyszom siedzącym ongiś w Piotrkowie, sędzia śledczy do szczególnych spraw Kołomacki, w towarzystwie podprokuratora Kataranoskiego. Sędzia Kołomacki uchodził za zręcznego człowieka; rozpoczął od słów współczucia. Oburzał się na władze policyjne, które dopuściły do bicia mnie. Nie wdawałem się z nim w żadne rozmowy. Ale też i nie przeszkadzałem mu mówić.

Był on również niezłym psychologiem, bo jak zobaczył, że piękne jego słowa nie robią żadnego wrażenia, momentalnie zmieniał temat rozmowy, i od razu robił się sztywny do przesady.

Pierwsze badania wypadły naogół tak samo, jak w Zawierciu. P. Kołomacki oczywiście nie pozwolił się zbyć ogólnikami, natęczył pytanie o moją rodzinę, to znów o różne miasta, próbując znaleźć jakąś nić, przy pomocy której dowiedziałby się nie tylko o tem, co ja chcę mówić, ale i o tem, co on by pragnął wiedzieć.

Na wszystkie jego wybiegi miałem ustaloną zgóry odpowiedź.

Nic nie wskórawszy, spisał protokół i wezwał dyżurnego pomocnika naczelnika więzienia, wydając mu polecenie, by trzymał mnie w izolacji od innych więźniów.

Prosto z kancelarji zostałem posadzony do celi Nr. 18 na oddział dozorey Chmielskiego, bardzo porządnego człowieka, który przynosił nam gazety i różne produkty.

Ponieważ wywieziono mnie dość raptownie z Będzina, przeto nie mogłem zdobyć sobie odpowiedniej ilości bielizny.

Po mojem aresztowaniu na moje miejsce do Częstochowy przyjechał Tarantowicz, znany później prowokator, którego wywieziono do Rzymu i tam zgładzono.

Tarantowicz w dość bezceremonjalny sposób obszedł się z mojami rzeczami, poprostu zabierając wszystko, co pozostało po mnie. Fakt ten był bardzo charakterystyczny i do pewnego stopnia rzucał na niego, jako na człowieka, światło. To też zmuszony byłem w pierwszą sobotę wyprać sobie bieliznę, i bez bielizny przespać noc. Było mi trochę przykro, bo derka była dość szorstka.

W parę dni później otrzymałem bieliznę i obiady z "wolności."

Więźniami politycznymi zajmowała się p. adwokatowa Rudnicka — późniejsza pani prokuratorowa.

Więzienie piotrkowskie, chociaż było szalenie przepełnione, było jednak bardzo czyste. Podłogi, sienniki były wprost wzorowo czyste. Utarł się zwyczaj, że jeżeli ktokolwiek z więźniów, pijąc z konewki wodę, kapnął na podłogę, to natychmiast wycierał miejsce, zalane wodą, do sucha szklęm.

Utrzymanie było dobre, grochówka piotrkowska była wprost fenomenalna. Często narzekam że nie mogę otrzymać tak smacznej grochówki, jak w piotrkowskiem więzieniu.

Rygor w stosunku do "politycznych" był znacznie słabszy, niż

w stosunku do kryminalnych — zasadniczo więźniowie polityczni siedzieli oddzielnie.

Spacer raz na dzień — pół godziny. Ja miałem często dłuższy spacer — w tych dniach, gdy cela moja była ostatnia.

Pomimo pewnego uprzywilejowania, z jakiego korzystałem pod względem żywnościowym, były chwile, kiedy czułem się fatalnie. Cały wolny czas spędzałem na czytaniu, a kiedy czytaniem byłem przemęczony, oddawałem się z zamilowaniem rozmowie na migi z towarzyszami z sąsiedniego gmachu. Mówiłem na migi szybko, dziś jeszcze nie zapomniałem i mogę się swobodnie porozumiewać na migi.

W czasie mojego przebywania w więzieniu piotrkowskim siedziała tam dość duża ilość “ politycznych.”

Ze względów konspiracyjnych, unikałem zbliżania się z nieznanymi towarzyszami.

Korzystałem z bardzo szczegółowych informacji o poszczególnych towarzyszach, udzielał mi ich ojciec tow. Dratwy. Rozmowa z nim sprawiała mi bardzo dużo przyjemności, albowiem był to człowiek ogromnie odcytany i bardzo sympatyczny. Niema pewno wśród byłych więźniów politycznych nikogo, kto by nie wspomniał o nim z przyjemnością! . . .

Po dwóch miesiącach zjawił się u mnie późno wieczorem p. sędzia Kołomacki na badanie. Zaraz po przywitaniu się ze mną, oznajmił mi, że otrzymał urzędowe informacje z Włocławka, z których wynika, że podane przeze mnie nazwisko jest zmyślane, że w księgach ludności Włocławka zupełnie nie figuruję. Po wypowiedzeniu tego, spojrział mi w oczy, jakby chciał wyrwać z nich kryjącą się tajemnicę.

Na wszelkie pytania odpowiadałem twierdzeniem, że nazywam się Kwapiński. Po godzinnej konferencji, p. sędzia jak nie pyszny poszedł z niczem. Mogłem przyspieszyć zakończenie śledztwa i co za tem idzie stanąć przed wojennym sądem, ale z wolności otrzymałem informacje, żeby zwlekać, gdyż idą sprawy pod przewodnictwem znanego kata, generała Koziołkina, na którego dokonano zamachu. W zamachu tym brał udział tow. Morawski, przewodniczący związku spożywczego, za co został skazany na 20 lat katongi.

W czasie mojego sześciomiesięcznego przebywania w piotrkowskim więzieniu, byłem badany z pięć razy. W końcu października gdy zjawił się u mnie sędzia śledczy, oznajmił mi, że podane nazwisko Kwapiński jest tylko pseudonimem, ale swojego mu nie powiem, wszelkie rozmowy na ten temat przerywałem oświadczeniem, że nic o sobie nie powiem!

Wobec tak kategorycznego oświadczenia p. Kołomacki wstał i wyszedł, zjawił się na drugi dzień w towarzystwie podprokuratora i trzech lekarzy. Lekarze wymierzili moje ciało i orzekli że mam lat. 20.

Na tem zakończono faktyczne dochodzenie śledcze.

Wpisano do akt mojej sprawy przy rubryce “ imię i nazwisko ”:

Imienujeszcyj siebie Jan Władisławowicz Kwapiński — Nazwał się Janem Władysławowiczem Kwapińskim.

Przed samym wyjazdem z Piotrkowa do X pawilonu w Warszawie, w czasie mojego spaceru z III piętra pawilonu ktoś zaczął witać się ze mną na migi. Na zapytanie, skąd on mnie zna, otrzymałem odpowiedź, że z organizacji łódzkiej. Pytałem, za co siedzi, odpowiedział, że za zamach na oberpolicmajstra Chrzanowskiego, dodając z pewną przechwałką, że przynajmniej wie, za co siedzi. Nie dowierzając sobie, zapytałem go, czy on brał udział w tym zamachu. Otrzymałem twierdzącą odpowiedź.

Przechwałka ta speszyła mnie bardzo, tembardziej, że nie znałem tego człowieka zupełnie. Dowiedziałem się później, że dzięki gadatliwości i chwaleniu się jego w więzieniu łódzkim, zasypano go.

Już będąc w katordze, dowiedziałem się, że w dwa miesiące po moim wyjeździe z Piotrkowa, został skazany na śmierć i wyrok wykonano.

W pierwszych dniach listopada 1907 roku zostałem przewieziony z Piotrkowa, przez "Zborniak" — (więzienie przesyłkowe) do X Pawilonu cytadeli warszawskiej.

W X PAWILONIE.

Do dziesiątego pawilonu zostałem przewieziony w więziennej karetkce, tak dobrze znanej i pamiętnej mieszkańcom Warszawy. Przed samym odjazdem z przesyłkowego więzienia do cytadeli, przybył do mnie adwokat Makowski — późniejszy minister i zakonikował mi, że bronić mnie będzie w sądzie wojennym p. Leon Berenson.

Na tem miejscu pragnę wyrazić słowa uznania adwokatom warszawskim, którzy pod przewodnictwem p. Patka stworzyli specjalne koło adwokatów w celu obrony wszystkich więźniów politycznych.

Cały szereg młodych adwokatów nie ograniczył się tylko do obrony politycznych w sądach wojennych, przeciwnie, byli to ludzie pełni poświęcenia i odwagi; niejeden ryzykował długoletnią utratę wolności, przynosząc do więzienia listy i nawet broń.

Przed wojną adw. Szumański ogłaszał w "Robotniku" swoje wspomnienia z tego okresu, dobrzeby było odtworzyć możliwie dokładnie rolę P. P. S. w walce o wolność kraju.

Nad okresem zmagają się P. P. S. z caratem historycy przechodzą z obojętnością, równą nieuctwu! Dawni, dzielni nasi obrońcy, chluba pałestry ówczesnej, adwokaci Warszawy, Łodzi i wielu miast polskich, mogliby bardzo dużo opowiedzieć społeczeństwu o bohaterach proletarjackich. Przekonany jestem, że nadejdzie chwila, kiedy prawdziwi historycy zajmą się tym okresem w imię sprawiedliwości dziejowej! . . .

Jadąc przez ulice Warszawy w asyście żandarmów — myślałem po raz pierwszy z trwogą wewnętrzną, czy to ostatni raz, chociaż z za kraty małego okienka karetki więziennej, oczy moje oglądają Warszawę ?!

Staralem się odpychać od siebie myśli o najbliższej przyszłości.

Karetką podjechała pod gmach więzienia, zwanego X pawilonem. Żandarm zeskoczył z siedzenia, otworzył drzwi — “ Proszę wysiadać ! ” Wprowadzono mnie do kancelarii X pawilonu, na I-szem piętrze.

Z bijącym sercem kroczyłem po schodach tego więzienia, z którego bardzo niewiele w tym czasie wychodziło z życiem.

Po spisaniu różnych formalności, zostałem osadzony w celi Nr. 56. Jak tylko zamknięto drzwi, usiadłem na krześle i machinalnie zacząłem rozglądać się po celi. Kilka minut siedziałem w takiej pozycji, poczem wstałem, przeszedłem się parę razy, spoglądając już bardziej uważnie na wszystkie przedmioty.

Duża cela, stół, dwa wiedeńskie krzesła, łóżko, poduszka z pierza i przywoita derka. Okna duże, ale szyby matowe. Otwierać okna nie można było, dla przewietrzenia celi otwierano oberluft, na którym była bardzo gęsta siatka.

Pożywienie w X pawilonie było dobre. Otrzymałem zrana herbatę, 4 bułki kajzerki i 4 kawałki cukru. O godzinie 12 dawano półtora funta chleba pytlowego, a o 1-szej obiad, składający się z zupy z kawałkiem mięsa, a na drugie danie kotlet z makaronem i kartoflami. Na kolację taką samą zupę, jak na obiad, i herbatę.

Pomimo dobrego “ wikt, ” siedzenie w X pawilonie było bardzo ciężkie pod względem moralnym. Gdziekolwiek człowiek rzucił okiem, — wszędzie napisy, świadczące o tem, że niejedyn dziesiątek siedzących w tej celi został stracony.

Późno wieczorem, kiedy wyczerpany klucznik — żandarm mniej uważnie śledzi cele, w których więźniowie jeszcze nie są skazani na śmierć — ściany X pawilonu zaczynają mówić.

Dziwna zaiste mowa tych ścian za pomocą stuku alfabetycznego. Więźniowie porozbiorowej Polski, przebywający w X pawilonie od początku tragedji porozbiorowej aż po rok 1906, zostawili ślady swojego przebywania w tych murach.

Przysłuchiwałem się bardzo uważnie rozmowie za pomocą stukania w ściany i podłogi w sąsiednich celach. Na stole moim alfabet, potrzebny do rozmów, miałem napisany igłą. Rozmawiać przy pomocy stukania narazie nie mogłem, bo w piotrkowskim więzieniu rozmawialiśmy na migi. Po tygodniu już z pewnym trudem mogłem porozumieć się ze swoim sąsiadem.

Pierwszą noc w X pawilonie spędziłem fatalnie. Długo bardzo nie mogłem zasnąć, chodziłem do późna w nocy po celi; myśli, jak przelotne ptaki, biegly hen, poza mury tego więzienia. Życie za kratami wydawało mi się rajem. To też marzyłem, jak dziecko, o najdrobniejszych rzeczach z “ wolności. ”

Z uporem wracałem do różnych epizodów niedawnych walk

rewolucyjnych, tworząc sobie z myśli tych pewną całość, przy pomocy której usprawiedliwiałem przed sobą przebywanie w więzieniu.

Rano — jeszcze leżałem w łóżku, kiedy żandarm otworzył już celę, wpuszczając żołnierza, który, wszedłszy na palcach, starał się jak można najciszej ją sprzątnąć. Około 9-ej wstałem, wypilem herbatę. Po herbacie wyprowadzono mnie, w asyście dwóch żołnierzy i jednego żandarma, na spacer.

Spacer trwał bardzo krótko, bo 15 minut. Tak krótki czas tłumaczył się tym, że więźniowie przeważnie w pojedynkę chodzili na spacer, a miejsc spacerowych było mało. Na podwórku spacerowym ulokowany był zegar, żeby każdy więzień wiedział, jak długo spaceruje. Żandarm unikał rozmów ze mną, ręką wskazywał na zegar, co oznaczało, że spacer skończony.

Monotonnie spędzałem dni i tygodnie w X pawilonie, aż do wręczenia mi aktu oskarżenia, co miało miejsce 23 listopada 1907 roku.

Sąd wyznaczony miałem na 6 grudnia, każda godzina zatem przybliżała rozstrzygnięcie. . . .

Przed rozprawą trzymałem się całą siłą woli. Najgorzej było pomiędzy godziną 3 a 4 po północy, albowiem w tych godzinach wyprowadzano skazańców z cel na stracenie.

Starałem się za wszelką cenę spać w tych godzinach, żeby nie słyszeć szamotania się tych, których wywlekano na stracenie już na pół martwych. Było wielu takich, o których dowiadaliśmy się, że idą na stracenie z okrzyków: “Żegnajcie towarzysze! już Was nie zobaczę!” “Niech żyje rewolucja!” “Niech żyje Niepodległa Polska!”

Kto słyszał taki okrzyk, który rozbrzmiewał wśród nocy w murach X pawilonu, ten nigdy nie zapomni głosów tych, co umierali za Polskę, wtedy, gdy duży odłam społeczeństwa polskiego kornie zginał głowy przed potęgą Romanowów.

Często, o bardzo często, już jako poseł na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, wspominałem te noce, siedząc na ławie poselskiej i przyglądając się ludziom, którzy byli i są ministrami polskimi! Ilu wśród nich było śmiertelnymi wrogami tych wszystkich, którzy z okrzykiem o Niepodległej Polsce umierali na stokach cytadel! . . .

Są chwile, że chciałoby się wstać i rzucić w twarz tym intruzom: “Precz z ziemi, krwią i męką męczenników zroszonej!”

O, gdyby mogli wstać z mogił ci wszyscy, których pomordowano zato, że chcieli być wolni. Przemówiliby takim głosem, że niejeden z tych panów, co decyduje w chwili obecnej o losach Polski, skamieniałby ze strachu! . . .

SĄD.

W dniu 6 grudnia 1907 roku, wczesnym rankiem, wyprowadziło mnie z celi X pawilonu na sąd dwóch żandarmów i dwóch żołnierzy do biblioteki oficerskiej, leżącej opodal pawilonu. Skoro tylko

wprowadzono mnie do gmachu biblioteki, zjawił się u mnie mój obrońca, p. Leon Berenson. Rozmowa jakoś nie kleiła się instynktownie wyczuwałem, że mój szanowny obrońca stara się rozmową skrócić mi czas przed rozpoczęciem sprawy.

O godzinie 10-tej stanąłem przed wojenno-okręgowym sądem. Obok mnie zasiadł mój obrońca; przewodniczył obradom sądu pułkownik Kamiński.

Na sali kilku oficerów i świadkowie. Przed przystąpieniem do odczytywania aktu oskarżenia wszystkich świadków usunięto z sali.

Przewodniczący sądu przed odczytaniem aktu, zapytuje o moje nazwisko; odpowiedziałem po polsku tak samo, jak i na śledztwie, że nazywam się "Kwapiński."

Dochodzenie sądowe trwało około półtorej godziny wraz ze zbadaniem świadków. Brakowało dwóch świadków: jeden z nich został zabity przez bojową organizację w Zawierciu, drugi uciekł zagranicę, w obawie przed śmiercią! . . .

Świadkowie starali się mówić bardzo mało, zresztą zeznania ich były raczej zwykłą formalnością, z uwagi na moje przyznanie się do kierownictwa akcją.

Po tych formalnościach zabrał głos mój obrońca.

Mowa p. Leona Berensona była wypowiedziana z dużą swadą i odwagą. Przyznaje, że przemówienie mojego obrońcy zrobiło na mnie bardzo duże wrażenie.

Mój obrońca zakończył swoje przemówienie głosem donośnym.

"Panowie sędziowie, macie przed sobą żołnierza rewolucji, którego przemocą postawiono przed sądem. Widzicie człowieka, głęboko wierzącego w słuszność swojej sprawy, dla której oddał życie swoje młode. Usłyszeliście z jego ust, iż uważa was za narzędzie ucisku, z którym on, jako członek Polskiej Partji Socjalistycznej, z całym zaparciem się walczył. Nie macie prawa, panowie sędziowie, skazywać go na karę śmierci, albowiem na jego miejsce staną setki innych w obronie nie tylko idei, której służył, lecz i dla zemsty za jego życie!!"

Cały wysiłek mojego obrońcy skierowany był w kierunku uratowania mi życia.

Był to okres, kiedy zarówno więźniowie, jak i obrońcy, wierzyli, że rewolucja jeszcze nie została stłumiona, a więc wierzone, iż nastąpi nowa fala rewolucyjna, która zmiecie z powierzchni życia carat wraz z całym aparatem ucisku . . .

Po skończonej mowie obrońcy, przewodniczący sądu raz jeszcze zapytał mnie, czy nie życzę sobie przed wydaniem wyroku wyjawić prawdziwe swoje nazwisko.

Odpowiedziałem: "Nie"!

Udzielono mi ostatniego słowa, w którym powiedziałem:

"Jestem rewolucjonistą i, jako taki, wykonywałem z pobudek ideowych czyny, wymierzone przeciwko uciskowi. Należę do partji, która dąży do zdobycia Niepodległości Polski na drodze

bezpośredniej walki rewolucyjnej. Jeżeli panowie uważacie, że czyny moje klóćą się z zasadami ludzi, którzy pragną uwolnić kraj i lud pracujący z niewoli, to wydajcie wyrok na mnie. O jedno proszę — nie zapominajcie, że jestem żołnierzem rewolucji, który ma prawo domagać się od was, byście wymierzili mu karę, jako przystoi żołnierzowi.”

Sąd po mojem przemówieniu udał się na naradę.

Narady sądu trwały około pół godziny. Zostałem skazany na zasadzie 2 cz. 102 art., 1627 i 279 art. na karę śmierci przez powieszenie!

P. Leon Berenson po ogłoszeniu wyroku zwrócił się do mnie, wziął mnie za rękę i długo patrzył mi w oczy . . .

Nagle opuścił rękę i ledwo dosłyszalnym głosem powiedział: “Bądźcie dobrej myśli, jak tylko zamienią karę śmierci, niezwłocznie dam wam znać!”

Chwil kilka stałem, jak osłupiały, oparty o jakąś ścianę.

“Pójdziemy” — głosem łagodnym zwrócił się do mnie żandarm; ocknąłem się z zadumy i poszliśmy . . .

Zaledwie wprowadzono mnie do celi, zjawił się u mnie starszy żandarm z zapytaniem, co mają mi podać, bo już dawno jest po obiedzie.

“Co chcecie — odparłem — byle prędko, bo mi się chce jeść.”

Obiad zjadłem z apetytem, po obiedzie napiłem się herbaty, poczem położyłem się w ubraniu i zasnąłem kamiennym snem. Spałem tak twardo, że nie budzono mnie na kolację. Obudziły mnie jakieś krzyki na korytarzu i szamotanie się; byłem tak zaspany, że nieodrązno mogłem uprzytomnić sobie, skąd pochodzą głosy.

Zerwałem się na nogi i nagle uprzytomniłem sobie, że wczoraj zostałem skazany, a głos, który dochodził do mojej celi, był to głos dobrego znajomego, bojowca z Łodzi. Tak, to jego prowadzą na stracenie.

Stanął przede mną jak żywy tow. Sieciński, młodziutki brunecik . . .

“Żegnajcie, towarzysze! Śmierć katom! Niech żyje Niepodległa Polska!”

Donośny głos młodego bojowca rozległ się głośnie echem po korytarzu X pawilonu.

Trwało to krótko, ale w mózgu moim długo słyszałem głos jego! . . .

Na dworze ciemno jeszcze; wśród ciemności kaci mordują tych, co walczą z ciemnotą i uciskiem . . .

Zacząłem nowy dzień, dzień pozornie taki sam, jak wczorajszy, a jednak jakże inny. Przez pierwsze godziny odganiałem od siebie myśli, które z chorobliwą natarczywością wdzierały mi się do mózgu, szepcąc: już zbliża się i twoja godzina . . .

Próbowałem czytać. Niestety! Dzień spędziłem na chodzeniu po celi, a gdy zawitał wieczór, a później noc, przeraźliwie długa,

wówczas czyniłem nadludzki wysiłek, żeby wyjaśnić sobie samemu, że jednak tak być musi, niema żadnej siły, która zdolna była zmienić to, co się stało.

Na spacerze oglądałem znajome drzewa i w myślach żegnałem się z nimi, wychodząc z podwórza do celi.

Drugą noc spędziłem bezsennie, chodziłem po celi, wydeptując ścieżkę. Żandarm - klucznik bardzo często otwierał wizytkę, oglądając, czy aby wszystko jest w porządku.

Na trzeci dzień zacząłem rozmawiać ze sobą, zadawałem sobie pytania, czy śmierć jest straszna?! W odpowiedzi sobie starałem się jak najbardziej realnie uzmysłowić szczegóły śmierci, poczynawszy od wyjścia z celi, aż do założenia stryczka na szyję.

Byłem tak przejęty temi przeżyciami, że niemal czułem fizycznie na swojej szyi sznurek! . . .

Na piąty dzień podsumowałem wszystko, com zrobił, jako bojowiec, a w konkluzji sam przed sobą orzekłem, że, chociaż życie jest tak piękne, to jednak musi się skończyć. A gdy raz zająłem takie stanowisko, starałem się odpędzić od siebie wszystkie nadzieje.

W siódmym dniu oczekiwania przestałem się interesować wolnością — żyłem przygotowaniem do śmierci. Czy bałem się jej? nie! Ale też z równą siłą chciałem żyć! Urok życia jest tak wielki, że rozstanie się z nim dla młodego chłopca było bardzo trudne.

Ósmego dnia po południu, już o zmroku, starszy żandarm otworzył drzwi mojej celi ze słowami: — "Proszę do kancelarji". W pierwszej chwili nie mogłem zorientować się, po co wołają mnie, ale gdy wszedł na schody, prowadzące do kancelarji, wówczas, jak błysk słońca, rzuciła się myśl — to na pewno mój obrońca z dobrą nowiną. Jeszcze nie zdążyłem wyjaśnić sobie dostatecznie jasno możliwości zamiany kary śmierci na katorgę, a już byłem w objęciach mojego obrońcy, który całując mnie, mówił:

"Zamienili wam karę śmierci na 15 lat katorgi. Zmieniono dlatego, że byliście niepełnoletni".

Byłem tak oszołomiony tą wiadomością, że czas jakiś nie mogłem przyjść do siebie.

A gdy opanowałem swoje nerwy, zaczęliśmy rozmowę z moim obrońcą na temat ewentualnych spraw, jakie mogą mi jeszcze wytoczyć! Szczerze opowiedziałem mu, jakie mnie jeszcze czekają sprawy na wypadek jakiejś prowokacji.

Zapisał sobie adres tow. Oli, obecnie marszałkowej Piłsudskiej, której zakomunikował o przebiegu mojej sprawy. Towarzyszka Ola miała adres mojej matki, której miała dać znać o mnie.

Po półgodzinnej rozmowie obrońca mój pożegnał się ze mną słowami:

"Do prędkiego zobaczenia najdalej za pół roku na wolności!!"

Niestety, przepowiednia mojego obrońcy nie sprawdziła się; zostałem aresztowany w 1907 roku, a wyszedłem na wolność w roku 1917!

W 1927 roku, dnia 23.X. otrzymałem od p. Leona Berensona następujące pismo :

Szanowny i laskawy Panie Pośle !

Zgodnie z przyrzeczeniem załączam akt oskarżenia w Waszej sprawie. Czekał on długie lata, by wrócić do prawnego właściciela, jako wspomnienie pięknej karty Waszego życia.

Łączę uścisk dłoni Berenson.

Wielce Szanowny Panie Mecenasie ! Niechże wolno mi będzie po 20 latach wyrazić serdeczne podziękowanie za okazanie mi serca, oraz złożyć wyrazy hołdu dla Waszej cywilnej odwagi, z jaką broniliście tych, co chcieli Wolnej Zjednoczonej i Niepodległej Polski !

W ARSENALE PRZY UL. DŁUGIEJ

Po zamianie kary śmierci na katorgę, zostałem przewieziony 15 grudnia 1907 roku z X pawilonu do "Arsenału" (główne więzienie kryminalne na ulicy Długiej). "Arsenałem" zwano więzienie na Długiej dlatego, że za czasów polskich miał być w gmachu tym arsenał.

Zaraz po wprowadzeniu mnie do kancelarii więziennej wzięto ode mnie różne drobiazgi do przechowania. Następnie starszy dozorca, zwany "intendentem", poprowadził mnie do składu, gdzie zmuszony byłem swoje ubranie zdjąć, przywdziewając szare, więzienne. Po tej pierwszej operacji zaprowadzono mnie do kuźni, gdzie zostałem zakuty w długie nożne kajdany, wagi 8 funtów. Po dokonaniu tej bolesnej dla mojej ambicji operacji, zrozumiałem potworność wyroku, głoszącego — "pozbawiony wszystkich praw".

Uczucie buntu wzmogło się w mojej duszy z powodu poniewierania mojej godności własnej — ludzkiej. Przestałem być człowiekiem pod względem prawnym, zostałem rzeczą z którą robią co chcą! . . . Powiedziałem sobie jednak : chociaż zabrano mi wolność, duch mój wolny jest — dalej ani kroku, trzeba bronić swojej godności, nawet będąc za kratą !

Rzeczywistość jednak była zbyt bolesna, szczególnie po wprowadzeniu mię do celi, zwanej "zborną", przez którą wszyscy nowo przybyli więźniowie muszą przejść.

Jak tylko wszedłem do celi, podszedł do mnie jakiś drab, obejmując mnie od stóp do głowy, brzęknął kajdanami i spytał z ironicznym uśmiechem :

— Za co to ptaszka zakuli w takie oto piękne łańcuszki ?

W odpowiedzi na to głosem złym odrzekłem :

— Djabli ci do tego !

— Widzisz go, jaki "chojrak" — pewno bojowiec, — rzucił ktoś z boku.

Po tym obiecującym wstępie wcale niedwuznacznie złodzieje prowokowali mnie do awantury.

W Arsenale, tak, jak prawie we wszystkich więzieniach warszawskich, panował wówczas silny antagonizm pomiędzy kryminali-

stami, a "politycznymi." Przyczyna antagonizmu była, jeżeli chodzi o Arsenał, dwojaka.

Po pierwsze: do czasu przybycia pierwszej partji więźniów politycznych ze sprawy 67, kryminaliści korzystali ze względnej swobody; cały dzień, aż do apelu, cele były pootwierane, złodzieje mogli swobodnie chodzić sobie z celi do celi, grać w karty, uprawiać homoseksualizm, kraść od słabszych fizycznie a zasobniejszych w gotówkę i t. d.

Z chwilą zjawienia się nowych mieszkańców do Arsenалу, sytuacja radykalnie zmieniła się — "złotą wolność" kryminalistom władze więzienne zabrały, zamykając pod klucz wszystkich. Od tej chwili złodzieje korzystali jedynie z półgodzinnego spaceru na równi z politycznymi. To też kryminaliści traktowali nas, politycznych, jako intruzów, którzy wdarli się do ich "domu."

Druga przyczyna antagonizmu była raczej o charakterze społeczno-historycznym. W Warszawie do roku 1905 wszelkiego rodzaju szumowiny, szczególnie na przedmieściach dla mieszkańców tych dzielnic były plagą. Nie było dnia, żeby kilku lub kilkunastu robotników nie pokłuto nożami. Nie było dnia, żeby żon i córek robotników nie napastowano często w oczach policji, która była w zmwowie z kryminalistami.

Po pierwszym powszechnym strajku robotnicy zorganizowali samoobronę. Odwet ze strony robotników był okrutny. Złapanych w mieszkaniach i na ulicy złodziejów prowadzono do "sądu ludowego." Sąd ten mieścił się w fabrykach Labora i Wulkana. Zdarzało się bardzo rzadko, żeby złodziej, który dostał się do rąk "sądu ludowego," wy dostał się żywy.

Nie też dziwnego, że na tem tle antagonizm więzienia był bardzo ostry, szczególnie w pierwszych miesiącach, kiedy więźniów politycznych w "arsenale" było znacznie mniej, niż kryminalistów.

Wiedząc o tem wszystkim i widząc, jak się ustosunkowują kryminaliści do mnie na samym wstępie, postanowiłem żądać przeniesienia mnie z tej celi na oddział. Za żadną cenę nie mogłem zgodzić się na nocowanie z nimi w jednej celi.

Próbowałem szukać politycznych pośród 30 siedzących tam. — Niestety! Albo bali się przyznać, że są politycznymi, co zdarzało się także albo też nie było politycznych właśnie tego dnia, w którym ja siedziałem. Jak tylko powziąłem decyzję, poszedłem do drzwi i zacząłem stukać. Dość długo czekałem, zanim dozorca jawił się na moje stukanie.

Wreszcie doczekałem się, ale jakie było moje zdziwienie, kiedy ten drab-dozorca zamiast wysłuchać mojego żądania, zwrócił się do kryminalistów z wezwaniem, żeby mnie uspokoił. Nie żądałem odpowiedzi na tę prowokację, jak drzwi zatrzęsnięto mi przed nosem. Jak tylko zamknął dozorca drzwi, podeszło do mnie kilku złodziejów i zaczęli mi wygrażać pięściami, a jeden z nich oznajmił, że jeżeli będę niepokoił władze, to "skopsają" (pobiją). Nie

czekając aż groźbę spełnią, podszedłem do drzwi i zacząłem walić z całej siły.

Taki obrót rzeczy speszył kryminalistów i dozorcę, który zjawił się w celi.

Zażądałem naczelnika ; dozorca, widząc mój upór, zamknął celę, poczem zjawił się u mnie starszy dozorca, który, wysłuchawszy mojego żądania, szyderczo uśmiechnął się i polecił dozorce posadzić mnie na V oddział. Posadzono mnie do celi 33, gdzie siedziało 8 politycznych i 29 kryminalistów.

Zaraz, jak tylko zdążyłem rozlokować się, podszedł do mnie tak zwany "starosta" celi, który oznajmił mi, że podczas apelu muszę w szeregu stać, a jutro mam kubły wynosić z dwoma innymi towarzyszami, i sprzątać celę.

Byłem speszony tem, co usłyszałem, Niebawem dowiedziałem się od towarzyszy, że kryminaliści nie w celi nie robią, lecz zmuszają naszych towarzyszy.

Postępowanie złodziei było ohydne ze stanowiska więźnia, ale szukanie "sprawiedliwości" w tem otoczeniu było zbędne. Jeszcze dziś wspominam te chwile z odrazą. Rząd carski specjalnie starał się dokuczyć nam, sadzając nas, politycznych, razem ze zbrodniarzami. Naturalnie, ani nie podporządkowywałem się życzeniu storosty w sprawie "stania" w czasie apelu, ani też nie zgodziłem się wynosić kubłów. Wręcz oznajmiłem im, że moja kolejka będzie dopiero za dwa tygodnie. Rano wyszli wszyscy z celi do umywalni, kubły pozostały. Dozorce byli w zмовie ze złodziejami. Zaznaczyć należy, że większość dozorców byli to Polacy.

Celi nikt nie sprzątał, kubły stały ; przed samym obiadem zjawił się zupełnie przypadkowo do celi naszej dyżurny pomocnik naczelnika więzienia. Zobaczywszy kubły w celi, zabrał starostę na 3 dni do karceru, poczem wydał polecenie kolejnego wynoszenia. Po tym incydencie stale powtarzały się awantury z kryminalistami we wszystkich celach. Nie było dnia, żeby ławkami nie odbywała się bijatyka. Władze więzienne w obawie przed jakąś większą awanturą, postanowiły oddać do dyspozycji politycznych 3 duże cele, ale w każdej z tych 3 cel zatrzymano po 3-ch kryminalistów, jako mężów zaufania władzy więziennej.

Dostałem się do celi 34, gdzie siedziało kilku proletarjateczków na czele z inżynierem Jeziorowskim i kilku S. D.-ków na czele z Pestkowskim — obecnie znanym komunistą.

Żyliśmy wszyscy w "komunie" ; gospodarzem naszej komuny był tow. Drumbel z łódzkiej roboty niemieckiej. Tow. Drumbel prócz tego uczył nas wieczorem gimnastyki. Naturalnie, że pozornie położenie nasze się znacznie polepszyło, ale dokuczał nam straszny brud, jaki panował w "Arsenale". Niezliczone masy robactwa wprost zatruwały nam życie. Byli wśród nas towarzysze, którzy mieli rany na ciele z powodu stałego drapania się.

Postanowiliśmy zrobić głódówkę po dwóch miesiącach, żeby uwolnić się od tego ohydneho więzienia. W czasie wizytacji więzie-

nia przez inspektora Peca, zbieraliśmy niezliczone masy wszy do buteleczek, byle przekonać go o niesłychanem niechlujstwie miejscowych władz ; po każdej takiej wizycie groził nam karcer i t. d.

Wreszcie czara goryczy wyczerpała się : postanowiliśmy głodować ; na drugi dzień wybrano nas 18 i w nocy wywieziono do różnych więzień po sześciu. Ja dostałem się do łomżyńskiego więzienia, które uchodziło za najlepsze w Kongresówce.

WIĘZIENIE W ŁOMŻY.

Jechaliśmy przez całą noc, pod eskortą etapowych żołnierzy, przyjechaliśmy o ósmej rano do najbliższej stacji kolejowej Czerwoný Bór, odległej od Łomży o 18 kilometrów.

Na stacji żołnierze przynieśli nam wody gotowanej na herbatę i pozwolili zjeść śniadanie. Po śniadaniu uformowano nas i ruszyliśmy piechotą do miasta.

Szliśmy rażno w takt muzyki naszych kajdan. Od czasu do czasu ktoś z nas próbował śpiewać, ale trwało to krótko. Jakoś nie potrafiliśmy stworzyć odpowiedniego nastroju.

I nie dziwnego. Wystarczyło tylko rzucić okiem na nasz orszak, wglębić się choć na chwilę w przyczyny tego dziwnego marszu ludzi młodych, zakutyh w łańcuchy, idących pod silną eskortą uzbrojonych żołnierzy, a natychmiast zamierał uśmiech na twarzy !

Połowę drogi szliśmy przez piękne lasy łomżyńskie. W takt brzęku naszych łańcuchów szumiał wiatr, poruszając ogromnemi sosnami, które prężyły się ku wiosennemu słońcu.

Okolo południa, porządnie zmęczeni, zbliżyliśmy się do ogromnego zabudowania, bodaj największego w Łomży — do więzienia. Na skrócie drogi, kiedy nasza partja podchodziła do więzienia, z okien frontowych witali nas z oddali towarzyszki i towarzysze, machając chusteczkami.

Otwarły się podwoje bramy więziennej, parami wprowadzono nas na dziedziniec. Było to 2 marca 1908 roku.

Zaczęło się od zwykłych formalności przyjmowania więźniów od dowódcy etapu. Po skończonej rewizji wprowadzono nas do dużej celi. Wydano nam wszystko nowe, czyste ubrania.

Na drugi dzień poszliśmy do łaźni. Tam, nauczeni przez miejscowych towarzyszy, rozluźniliśmy okrągłe obręcze od kajdan, wydłużając je w taki sposób, żeby można było w miarę potrzeby zdejmować kajdany.

Operacja ta była dość prosta, kładło się na kamieniu zakończenie obręczy w tem miejscu, gdzie jest nitowanie i uderzało się kilka razy kamieniem ; obręcz okrągła robiła się podłużna, a to dawało możność zdejmowania kajdan, kiedy tylko dusza zapragnęła i kiedy nie widziało "naczalstwo".

Ogólne warunki więzienia łomżyńskiego dadzą się scharakteryzować określeniem : mieliśmy w więzieniu ustrój konstytucyjny.

Poza nadzwyczajną czystością, korzystaliśmy ze spaceru dwa razy dziennie po 2 godziny. Podwórko, przeznaczone do spaceru, było spore, wygodne. Latem było dużo kwiatów, któreśmy sami sadzili. Do spaceru były trzy podwórka, dwa męskie i jedno kobiece. Nas, politycznych, władze więzienne puszczały także na podwórko kobiece.

Rozmowy z towarzyszkami mogliśmy prowadzić zupełnie swobodnie. Z niewiast siedziało kilka naszych towarzyszek, 2—3 esdeczki i kilka anarchistek z Białegostoku. Siedziały wówczas towarzyszki: Frenklowa, Rode (Klara), Zielińska z Warszawy, żona Królikowskiego i inne.

Większość więźniów byli to polityczni, przeważna część skazana na odsiadki w twierdzy, przysłani z głębi Rosji i Kaukazu. Dużo było żołnierzy, skazanych za różne kary. Prócz niewiast siedziało sporo naszych towarzyszy bojowców z Łodzi, Zawiercia, Warszawy.

Pod względem moralnym było nam w Łomży bardzo dobrze, albowiem urządzaliśmy wykłady, pogadanki, wspólne czytanie ciekawych książek. Wśród nas był spory zastęp inteligencji. Bardzo sympatyczne wrażenie w mojej pamięci pozostawili po sobie Rosjanie. Uprzejmi, mili i bardzo uczynni. Z początku żyliśmy wszyscy w jednej wspólnej komunie. W miarę przedłużania się naszego pobytu w więzieniu, zaczęły się niesnaski. Dysonans do naszego współżycia wprowadził były instruktor bojówki, tow. Bierzyszko.

Wychowany w stepach Syberji, odznaczał się on charakterem ponurym i ogromnie egoistycznym. Siedział z nim w celi sympatyczny towarzysz Kaczyński późniejszy kierownik kilku warszawskich podmiejskich spółdzielni.

Bezpośrednią przyczyną niesnasek były sprawy materialne; część siedzących, jak Bierzyszko, Sałajło i inni byli zasobni w gotówkę, to też stworzyli oni oddzielną komunę, w skład której weszli przeważnie inteligenci.

Ja, b. poseł Królikowski, Rosjanin Wasilewski i kilku innych towarzyszy-robotników stworzyliśmy skromniejszą w zasoby pieniężne komunę, ale zato komuna nasza była powszechna.

W więzieniu utworzyły się pod koniec mojego pobytu dwie "partje." Mieliśmy dwa więzienne organy, w których pisywaliśmy. Organ inteligencji nosił nazwę rosyjską "Żygan," pisano w nim po rosyjsku, przeważały różne pornograficzne kawały. Modny był wówczas Arcybaszew i jego "Sanin."

Nasz organ nazywał się "Wspólne życie," pisaliśmy zasadniczo w trzech językach: po polsku, rosyjsku i żydowsku. Poruszaliśmy zagadnienia społeczno - etyczne i dawaliśmy informacje z życia robotniczego. Na zewnątrz, wobec administracji więziennej, występowaliśmy solidarnie. Władze więzienne w sprawach ogólnych porozumiewały się przez wybranych przedstawicieli. Katorżnicy mieli swojego przedstawiciela, skazani na twierdzą — swojego.

Poza drobnymi niesnaskami żyliśmy w atmosferze nadzwyczaj

sympatycznej. Kto chciał uczyć się mógł to czynić swobodnie. Podczas spaceru część towarzyszy nie wyłączając esdeków, ćwiczyła się pod moją komendą. Część grała w krokiet, albo w palanta.

Wieczorami, kiedy zapach pól dochodził do naszych cel, kiedy tłumy przechodniów spacerowały po nowo-założonym parku przed naszymi oczami, każdy z nas myślą i sercem rwał się do wolności, do rozległych pól naszych i lasów . . . W takich chwilach szukaliśmy wyjścia z niewoli, w którą wpędziła nas przemoc !

Snuło się plany ucieczki. Z "wolnością" mieliśmy stały kontakt za pośrednictwem miłej i bardzo dzielnej pani adwokatowej Wędołowskiej, która dostarczała nam wszelkich informacji. Ona była łącznikiem pomiędzy życiem wolnym, a nami, więźniami.

Dwukrotnie gotowaliśmy się do ucieczki. Nasi fachowcy murarze orzekli, że jeżeli zdobędziemy specjalne narzędzia do psucia muru, to w ciągu godziny wydostaniemy się podczas spaceru na podwórko, a z podwórka w zboża i w lasy do Kurpiów łomżyńskich.

Zabraliśmy się pewnego dnia do dzieła. Otoczyliśmy kołem naszych "specjalistów," którzy pod szczególną osłoną ciał ludzkich "robili mur" Jakie było nasze zdziwienie, gdy stwierdziliśmy, że mur budowany był na cemencie, i pomimo dużej pracy nie udało się zrobić choćby takiej dziury, aby najszczuplejszy z nas (Królikowski) wydostał się na podwórko. A ponieważ koniec spaceru zbliżał się, przeto trzeba było copędzej zakryć dziurę w murze, pozostawiając dalszy ciąg na następny dzień. Ale nazajutrz zjawił się u nas naczelnik więzienia i oznajmił, że więcej na spacer na podwórko kobiece nie pójdziemy. Okazało się, że trafiliśmy, wierząc dziurę w murze, do komórek, w których przechowywano owies. Dozorca zobaczył tynk odbity i wszystko się wykryło.

Pierwsza próba ucieczki nie udała się. Po pewnym czasie zaczęliśmy zastanawiać się nad innym planem. Plan ten był pomyślany doskonale : mieliśmy przy pomocy ludzi z wolności wyprowadzić nocą wszystkich więźniów politycznych w przebraniu dozorców więziennych. Cóż, kiedy w ostatniej chwili kochany tow. Miciuryn, eserowiec, największy siłacz pośród nas, rozmyślił się, że nieetycznie jest wiązać i usypiać dozorców i, oczywiście, cały plan misternie przygotowany i przystosowany do dwóch ludzi, którzy mieli wypilowane zamki w swoich celach, spełził na niczem. P. Wędołowska potrafiła nawet wydobyć od obszarników łomżyńskich dla naszych celów 10 wozów, zaprzężonych w tęgie konie, które miały ratować nas od pościgu.

Po tem doświadczeniu już do końca swojego pobytu w Łomży z nikim nie chciałem rozmawiać na temat ucieczki. Biedny towarzysz Miciuryn ze swojemi wątpliwościami etycznymi w dwa lata potem umarł w Orłowskiej katordze.

W miarę przybywania nowych partyj do więzienia, wytwarzała się coraz gorętsza atmosfera ; nie było dnia bez jakiejś awantury z władzą więzienną. W początkach października mieliśmy zatarg z naczelnikiem na temat zdejmowania kajdan po okresie który

Główny Urząd Więzienny wyznaczał. Jeden z towarzyszy skończył czas noszenia kajdan, naczelnik uparł się i nie chciał mu ich zdjąć, motywując obawą, że więzień może uciec. W odpowiedzi na to, urządziliśmy wielką awanturę, która polegała na tem, że umówionego dnia i godziny na znak protestu, wieczorem, po odbytym apelu, wyrzuciliśmy wszyscy przez okna kajdany.

Śmiały ten protest miał ten skutek, że kilkunastu nas władze wysłały za karę do słynnej mordowni — Orłowskiej Katorgi.

NA KATORGĘ.

Gubernator Tatiszczew trzymał czas jakiś złośliwy swój plan w tajemnicy ; po paru dniach, kiedy byliśmy przekonani, że skończyło się na włożeniu nam gorszych kajdan, okazało się, że nadzieje nasze były przedczesne, bo oto w momencie dla nas najmniej spodziewanym, jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, że wysyłają nas do Orła.

Pokolei wzywano nas do kancelarji przed oblicze naczelnika popularnie przez nas zwanego “świniopasem” (skąd pochodził przydomek ten, nie umiem powiedzieć).

Pan naczelnik z uśmiechem na ustach oznajmiał każdemu z nas, że byliśmy cały czas niezadowoleni, przeto, idąc nam na rękę, wysyłają nas do orłowskiej katorgi. “Trudno — dodał — sami tego chcieliście.”

Wiadomość ta dla nas, wtajemniczonych w warunki bytowania w poszczególnych katorgach, nie należała do przyjemnych, ale cóż było robić? Prosić? Za nic!!

Z miną butną odparłem :

“Bądź pan spokojny i w Orle zrobimy porządek”!

Kiedym to mówił, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo trudno było przechwałkę tę wprowadzić w życie. Ale o tem później.

W drugiej połowie października, w czwartek, od samego rana na naszym korytarzu panował ruch bardzo ożywiony. Ci wszyscy — a było nas osiemnastu, — którzy szli na katorgę, gorączkowo przygotowywali się do drogi.

Zrana wydano nam nowe odzienia, jakie otrzymują katorżnicy, wysyłani na Syberję.

Skrzętnie zaszywaliśmy w różnych skrytkach najmilsze dla nas przedmioty, jeden liścik od narzeczonej, inny znów złote 5 i 10 rubłówki.

Bardziej odważni chowali skrzętnie specjalne piłki do piłowania kajdan.

Pieniądże przechowywaliśmy w cukrze : w kawałku cukru robiło się dziurkę, wkładało się w nią pieniądze, potem nagrzewano cukier, który topniał, i w ten sposób zaklejano dziurę, potem przysypywano mączką i nikt nie potrafił odszukać schowanych pieniędzy.

Podano nam wreszcie obiad, którego nikt nie mógł ze wzruszenia jeść.

W miarę przybliżania się godziny odjazdu, każdy z nas ogarniał okiem wszystko, co tylko widział, jakgdyby chciał zabrać ze sobą. Towarzysze, którzy pozostawali, byli przygnębieni, nikt nie żartował, jakiś ponury smutek zapanował nad całym więzieniem. Nawet ci, co uchodzili za moich przeciwników, z troską na twarzy podchodzili do mnie, chcąc uprzyjemnić mi ostatnie minuty.

O godzinie pierwszej wezwano nas do zabierania rzeczy i zejścia na dół do kancelarji.

Chwila niezwykle podniosła. Kolejno żegnamy się długim, długim uściskiem, oraz życzeniami zobaczenia się na gruzach caratu!

Ten i ów wyraża pesymistycznie wątpliwość, czy rychło spełni się nasze życzenie.

“ Wychodzić, wychodzić ! ” — dochodzi głos zdołu.

Wyszliśmy wszyscy na korytarz w długich siermięgach, z dwoma asami na plecach, w ręku worek z rzeczami.

Przed samem odejściem, kiedy wszyscy byli gotowi do zejścia z 4 piętra — głosem spokojnym zapytałem, czy wszyscy są.

“ Tak ” brzmiała odpowiedź.

“ Towarzysze ! — rzekłem wtedy — wysyłają nas na katorgę. Podnieśmy dumnie nasze głowy i powiedzmy sobie, że żadna przemoc nie zdolna jest złamać naszych hardych serc. Przyszłość do nas należy ! ”

“ Na prawo zwrot, — rozległ się głos — krokiem marsz ! ”

Dzyń, dzyń, dzyń, dzwonią nasze kajdany, w ślad za nami zgóry płynie pieśń buntu, wyrrywająca się z piersi tych, co pozostają :

“ Precz z tyranami, precz z zdziercami, niech zginie stary, podły świat ! My nowe życie stworzymy sami i nowy zaprowadzimy ład ! ”

Na dole wracająca ze spaceru partja tych, co odsiadują twierdzę, pochyla przed nami głowy, rzucając okrzyk : “ Niech żyje rewolucja ! Precz z krwawym caratem ! ”

Wolno, krok za krokiem, opuszczamy dolny korytarz, zdążając do kancelarji więziennej. Blade, zdenerwowane twarze żołnierzy, przystępujących do rewizji : na rozkaz dowódcy zaczynają od poszczególnych oględzin kajdan, szukają także pieniędzy.

Naprawdę, schowaliśmy wszystko dobrze.

Rewizja i formalności z odbioru partji trwają dość długo, Wychodzimy na dziedziniec, skąd mają nas wyprowadzić na ulicę. We wszystkich oknach twarze towarzyszek, i pod oknem celi, w której siedziały towarzyszki Domiecella Rode i Zielińska, formują naszą partję — katorżnicy na przodzie. Każda z niewiast co może daje nam na drogę ! Wreszcie o godzinie 4 po południu stoimy wszyscy gotowi. Raz jeszcze dowódca konwoju liczy : raz, dwa, trzy i t. d. “ Na stanowiska ! Wyjąć szable ! ” — brzmi rozkaz. Otwierają bramę więzienia, rzucam okiem na zapłakane twarze towarzyszek, nagle potężny śpiew ze wszystkich cel :

“ Hurra, zerwiemy z carów korony ! ”

Bacność — brzmi rozkaz dowódcy konwoju — krokiem marsz — i poszliśmy w nieznaną dal . . .

Zachodzące słońce swoim purpurowym blaskiem oświetla nas, młodych wygnańców, którzy dumnych swoich głów nie chcieli i nie potrafili kornie zginać przed zgrają carskich siepaczy.

Cisza grobowa w szeregach katorżników, ukradkiem rzucam okiem na sąsiadów, twarze skupione, oczy jakieś dziwnie wielkie, patrzą gdzieś w dal, to znów pieszczołtliwie oglądają naszą ukochaną ziemię, pola i lasy, których może już nie zobaczą. A gdy uszliśmy około 6 kilometrów, gdy zmrok pokrywał całunem ziemię, ze środka cicho, tęsknie popłynęła pieśń, zaintonowana przez towarzysza Wołkowa, smutna pieśń Niekrasowa: "Pokaż mi taki zakątek, gdzie rosyjski chłop nie cierpiał."

Nagle cała partja podchwyciła słowa bezgranicznego smutku i cierpienia tej pieśni wielkiego poety ludowego, które, przechodząc z ust do ust i po przez gorące serca nasze, zlały się w jeden strojny chór. Patrzą i oczom swoim nie wierzą: śpiewają także żołnierze! Cóż to za urok ma ta boska w swojej prostocie, a tak piękna pieśń.

Podchodzimy do lasu, dowódca ocknął się, słyszymy głos jego, podobny do zgrzytu: "Schować szable, wyjąć rewolwery, bacz — noś! . . ."

Czerwony Bór. Siadamy do zakratowanego wagonu. Żołnierze przynoszą w dużych czajnikach gorącą wodę na herbatę. Rozłożyliśmy się, wybrany gospodarz dzieli porcje. Spożywamy wieczerzę w niemem milczeniu; dziwne, nikt ani słowa nie wyrzekł, każdy zajęty własnymi myślami, które obracają się koło jednego pytania: czy powrócimy?

Obok mnie siedzi młodziutki towarzysz Konrad z Zawiercia, który od więzienia do więzienia idzie ze mną razem.

Oparłem głowę, wtuliłem się sam w siebie, przyszło mi do głowy, czy towarzyszka Ola (p. Piłsudska) powiadomiła moją kochaną matkę. Ciężko, że nawet nie mogę z nimi korespondować, nie mogłem przyznać się do własnego nazwiska, bo zapłaciłbym zato życiem. A zresztą nie chciałem psom carskim robić przyjemności, że wykryli moje nazwisko.

Rano oczekiwał nas w Warszawie oddział wojska z Litewskiego pułku. Chłopi, jak dęby, otoczyli nas wspólnie z naszym konwojem i w takiej asyście wprowadzono nas na "zborniak" (przesyłkowe więzienie).

Trzy dni czekaliśmy na skompletowanie naszej partji, która miała iść w stronę Moskwy. Wreszcie czas odjazdu nastał. Taka sama rewizja, tylko w nocy. Poczem duża, bardzo duża partja katorżników przez ulicę Warszawy szła w stronę dworca wschodniego.

Na dworcu ulokowano nas w dwóch wagonach. W naszym wagonie jechała towarzyszka Jaga — Glicenberżanka, skazana na osiedlenie. Kobietom w podróży etapem było najgorzej. Ile biedaczki musiały nasłuchać się różnych przykrych słów. W naszym otoczeniu staraliśmy się robić wszystko, żeby kobieta miała znośne warunki podróży.

Z pół godziny trwało usadawianie się w wagonach, a potem oczekiwanie odjazdu. Słyszymy, iż zwolna pociąg rusza — zadrgało coś wewnątrz nas, opuszczamy Warszawę, gnani na wschód, czy oczy nasze oglądać będą Wisłę jeszcze raz w życiu ?

Pociąg nasz zatrzymał się dłużej w Siedlcach, gdzie sześciu towarzyszy z Łodzi przyłączyło się do naszej partji. Później główny postój w Brześciu, Mińsku i w Smoleńsku. W miarę oddalania się na Wschód, coraz boleśniej wątpliwości targają nami.

W Smoleńsku wysadzili nas, poprowadzili do gubernjalnego więzienia na korytarz "przesyłkowy". Byliśmy śmiertelnie zmęczeni podróżą. Gdzie kto mógł rozlokował się i dosłownie w pół godziny wszyscy spali, jak zabici. Jak długo tak spaliliśmy — nie wiem, dość, że obudzeni zostaliśmy niesamowitem zjawiskiem. Chmara pluskiew obsiadła nasze ciała . . .

Jeden za drugim budził się z przekleństwem na ustach. Po zorientowaniu się, doszliśmy do wniosku, że należy ustawić kolejny dyżur po godzinie, według zegara, który ulokowany był na korytarzu.

Stojący na pikiecie z lampą w ręku odpędzał zbliżające się szerokim frontem po ścianie pluskwy. Pluskwy w odpowiedzi na nasze przeszkody, ruszyły na sufit, skąd spuszczały się na nas zgóry. Nie było rady, musieliśmy przerwać sen, ulegając zbiorowemu natarciu pluskiew. Na drugi dzień zażądaliśmy innej celi ; z dość dużą awanturą udało nam się ją dostać. Spędziliśmy w niej 7 dni. Po tygodniu transportem odwieziono nas do Orła.

Po drodze opowiadali nam towarzysze o niesłychanem znęcaniu się nad więźniami, byliśmy poważnie zaniepokojeni opowiadaniem towarzyszy rosyjskich o katordze. Do Orła przyjechaliśmy około południa, czasowo ulokowano nas w gubernjalnym więzieniu. Dziwne miasto, pełno popów i policji, ludność, wrogo odnosząca się do więźniów, a traktująca nas jako wrogów nie tylko cara, ale samej siebie.

" KATORŻNAJA TIURMA " W ORLE.

Po porannym apelu 6 listopada władza więzienna wezwała nas do zbierania rzeczy, albowiem za chwilę zjawią się żołnierze, którzy mają nas odprowadzić do "katorgi." W ciągu kilkunastu godzin, które spędziliśmy w gubernjalnym więzieniu, utworzyły nam się oczy na faktyczny stan, jaki panuje w Orłowskiej Katordze. Nie powiem, żeby wiadomość ta wpłynęła na nas uspakajająco.

Uszeregowano nas i o godzinie 9-iej rano wyruszyliśmy do Katorgi, odległej o kilkaset metrów od więzienia gubernjalnego.

Po przejściu 100 metrów, oczom naszym ukazał się wielki, biały gmach, pokryty malowaną na zielono blachą. Z bijącym sercem podchodziliśmy do miejsca, gdzie mieliśmy spędzać całe lata !

Mocne uderzenie w furtkę więzienną i niebawem wrota otwarły się przed nami. O ! jakże szeroko przy wchodzeniu do więzienia !

Wchodzimy parami, liczeni przez dowódcę konwoju, a gdy weszła ostatnia para, dozorca z łoskotem zamknął żelazną bramę. Tak, jak szliśmy parami, wyszeregowano nas twarzą do kancelarji, skąd miał zjawić się dyżurny pomocnik naczelnika więzienia. Naprzeciwko nas stali żołnierze.

Po dziesięciu minutach wyszedł do nas młody, przystojny brunecik. —

“ To dyżurny pomocnik Aninkow ” — informuje mnie, stojący obok mnie, tow. Jakowlew z Brjanska. Za nim wyszedł starszy Kozlonkin i kilku dozorców.

Aninkow przyjmuje partję od konwoju, a dozorca sprawdzają, czy rzeczy “ kazonne ” mamy w całości. Wreszcie wywoływanie poszczególnych więźniów. Aninkow ogląda każdego z osobna, robiąc pod jego adresem różne złośliwe uwagi. Po kilku minutach, do pomocy Aninkowowi przyszedł hr. Songajło, starszy pan również bardzo przystojny brunet. Stał nieruchomo, aż do samego końca, wybałuszając na nas swoje duże ślepiska.

Po skończeniu procedury z przyjęciem, Aninkow pokwitował odbiór naszej partji, tak, jak się kwituje odbiór listu poleconego. Dowódca konwoju odsalutował, poczem przejął nas znany w katordze kat, Kozlonkin, starszy dozorca. Tow. Jakowlew, idąc obok, szepnął mi : “ Prowadzą nas do łaźni. ”

Istotnie, po przejściu podwórka, poprowadzono nas do niewielkiego budynku, gdzie partję naszą rozdzielono na dwie części, jedną połowę zabrano do łaźni, a druga pozostała, żeby przyglądać się, jak będą bić tamtych.

Niedługo kazano nam czekać na widowisko, jakie nam zgotowano. Widzę : stoją uszeregowani z dwu stron dozorca, a pośrodku przelatuja z krzykiem zupełnie nadzy towarzysze, których biją. Mój informator, który przechodził już tę piekielną mękę, szepem informuje : — To pijani dozorca biją.

Wyteżam siły woli, żeby nie załamać się duchowo. Serce z łoskotem tłucze się, a myśli krążą dokoła jednego pytania : cóż to za potworna siła odebrała nam naszą odwagę. Biją w naszych oczach, a my nic . . .

“ Następni wchodzić ! ” — słyszę zdyszany głos Kozlonkina. Rzuciłem okiem na jego twarz. Jakże była wstrętna. Oczy krwią zalane ; czuło się że ten człowiek pała jakąś dziką zemstą do nas.

Zaledwie zdążyliśmy wejść, gdy ten sam Kozlonkin wrzasnął : “ Rozebrać się do naga ! ”

Szybko zdejmujemy odzienie. Trudniej zdejmować spodnie, bo przeszkadzają kajdany. Trwało to niewięcej, niż cztery minuty, a gdy wszyscy byli rozebrani, Aninkow rozpoczął wywoływać kolejno każdego z nas. Gdy przyszła kolej na mnie, szybko odczytał treść wyroku :

“ Skazany na karę śmierci za należenie do Frakcji Rewolucyjnej Polskiej Partji Socialistycznej, która stawia sobie za cel oderwanie Królestwa Polskiego od Rosji drogą zbrojnego powstania ; kara

śmierci zamieniona na 15 lat katorgi — przy-ją-ć !” — co oznaczało, że każdy dozorca, przechodzącego przez szpaler, ma uderzyć bykowcem. Człowiek, jak szalony, rzucał się od jednego do drugiego, a ci bili bykowcami, gdzie się dało.

Po takim przyjęciu, wpadłem jak nieprzytomny do sąsiedniej ubikacji.

Tutaj czuwał Kozlonkin, który dzikim głosem przyprowadzał do przytomności rozkazem : — “ Ubieraj się !”

Na jednej kupie leżały przygotowane dla nas ubrania więzienne, a na drugiej, w takim samym stanie, tak zwane “ koty,” pantofle. Z odrazą nakładałem na siebie brudne, śmierdzące ubranie i także same pantofle, tylko bez podeszew. Wszystko, cośmy przechowali w ubraniach w Łomży, musieliśmy pozostawić, gdyż ubrania te zabrano do gubernjalnego więzienia.

Po tej wstępnej operacji, z której człowiek wychodził, jak obłąkany, przeprowadzono nas nawpół gołych, trzęsących się z chłodu i wyczerpania moralnego, do gmachu, gdzie były pojedyncze cele. Tutaj przyjęło nas wielkie chłopisko, o nadzwyczajnej tuszy, starszy dozorca Zagorodnyj. Każdemu wypisał na ubraniu numer celi, do której przeznaczal, poczem ostrzyżono nas maszynką na zero i rozlokowano po celach.

W parę minut po wsadzeniu mnie do celi, zjawił się u mnie klucznik więzienny, który wyjaśnił mi, jak mam czyścić celę i w jaki sposób mam otwierać okno. Z wyjaśnień tych wynikało, iż okna otwierać nie mogę według swojego uznania, lecz na rozkaz, podawany wszystkim celom za pomocą dzwonka, że podłogi asfaltowe muszą specjalnymi sukienkami szmatami czyścić tak, żeby miały lakierowy połysk, dalej wskazał miskę, dzbanek i kubek miedziany. Naczynia te muszą mieć patynę złota.

Po wyjściu dozorce śmiertelnie znużony usiadłem na specjalnej ławeczce, wmurowanej w ścianę.

— Więc to jest katorga, pomyślałem, i w tej oto katordze mam 15 lat siedzieć w takich warunkach ?

Śmiertelny chłód przeszedł po całym ciele i jakaś dziwna apatia opanowała mnie. Siedziałem nieruchomo dość długo, utkwivszy oczy w małe okienko. Szare chmury przesuwały się po niebie ; tam, na wolności, za drzwiami słyszę głosy ludzkie i cichy stuk kajdan.

Na tym samym korytarzu ulokowano kilku towarzyszy, pomiędzy nimi tow. Konrada. Myślałem tylko o nim, był to najmłodszy. Jak ten chłopiec przeniósł to bicie i upokarzanie więźniów jak tylko przychodzą do katorgi ?

Tak rozmyślając usłyszałem otwieranie okienek w celach. Był to obiad, składający się ze “ szczy ” (barszcz), kawałka mięsa i trochę kaszy gryczanej. W dwie godziny po obiedzie dano nam wody na herbatę. O godzinie 6-ej kolacja — trochę rozgotowanej kaszy gryczanej na wodzie ! Po kolacji apel, a potem koniec dnia pierwszego w katordze !

DZIEŃ KATORŻNIKA.

Pierwsza noc uwydatniła przede mną z całą jaskrawością potworne warunki w katordze. Zgięty w kabłąk, okryty łachmanami leżałem, nie mogąc zasnąć, na łóżku naciągniętym brezentem.

Gdzieś, na dole, wśród śmiertelnej ciszy nocnej, wybijał zegar godziny za godzinami. Wsluchując się w ciszę nocy więziennej, majaczyłem jak opętany o przeszłości, przed oczami mej duszy stawały jak żywe obrazy minionych dni. W trakcie tych rozmyślań, gdzieś, w sąsiedniej celi, słyszę jakiś straszny jęk. Zimny pot wystąpił mi na czoło. Słucham :

“Co chcecie ode mnie, kaci, za co mnie bijecie. Kola ratuj mnie, morduja ! Ratunku, ludzie.”

Dozorca, usłyszawszy ten krzyk, biegiem przeleciał do celi, skąd wydobywał się głos przez sen mówiącego, zaczął walić w drzwi, więzień obudził się. Słyszę :

— “Ja ci pokażę, taki synu, jutro rano, poczekaj . . .”

Piąta godzina ! Słyszę dzwonek, potem dziwny ruch w celach, podobny do szmeru pszczoł w ulu. To więźniowie wstają.

Baczność ! To starszy dozorca zdaje raport dyżurnemu pomocnikowi, który zjawił się do przeprowadzenia apelu po nocy. Sprawdzenie odbywało się szybko, dozorca szedł na przodzie, otwierał okienka, przez które podawano jedzenie, za nim szedł starszy, liczący więźniów, dyżurny pomocnik zaglądał, czy więzień stoi na baczność.

Po dokonanym apelu na korytarzu zawrzało, jak w ulu. Dozorcy otwierają cele, a więźniowie biegiem pędzą z kubłami, szybko wylewając nieczystości, rzucają się jak szaleni do umywalni, ale cóż ? Zaledwie człowiek zdążył dwa razy opłukać ręce, a już dolatuje głos dozorey : “Czego tak długo siedzisz ? — wychodź.” Kto ośmielił się nie posłuchać rozkazu niezwłocznie, to na powrotnej drodze był bity kluczami. System bicia wprowadzony był, jako metoda trzymania w ryzach więźniów. W pół godziny po tej operacji rozdawano chleb, a zaraz potem wodę na herbatę.

Po śniadaniu należało sprzątnąć cele według otrzymanych wskazówek. W czasie sprzątanía, był na pół godziny otwarty lufcik.

O godzinie dziewiątej obchodził cele starszy dozorca Żagorodnyj, kontrolując, czy je porządnie sprzątnięto.

Przy wchodzeniu do celi klucznik wzywał na baczność więźnia. Starszy po wejściu do celi witał się słowem : “Zdarowo” — należało odpowiedzieć : — “Zdrawia żelaju, gospodin starszy, (życzę zdrowia, panie starszy). Po “przywitaniu” zaczęły się oględziny celi, w trakcie których trzeba było stać na baczność przy stoliku twarzą do drzwi. Jeżeli starszy zauważył kurz albo źle wyczyszczoną podłogę, podchodził bez ceremonji i bił po twarzy. A po wyjściu starszego bił oddziałowy !

W celach, gdzie siedzieli Sartowie, Kurdowie lub Persowie, odbywały się przy takich oględzinach istne orgje. Bito tych nie-

szczęśliwych ludzi w straszliwy sposób, bardzo często za to jedynie, że ani słowa nie rozumieli po rosyjsku. Zdarzały się też wypadki tragikomiczne. Dozorca przez kilka dni uczy jakiegoś Sarta, jak ma odpowiadać na przywitanie "władzy". Wydaje mu się, że już go nauczył, zaprasza starszego dla skontrolowania swoich pedagogicznych zdolności. Dozorca raptownie otwiera drzwi z okrzykiem: bacność! Starszy wtacza się do celi nieszczęsnego Sarta ze słowami — "Zdarowo", Sart zaskoczony zniecka ze strachu odpowiada: "Zdarowo, zdarowo gospodin zielony".

— "Co takiego? — dzikim głosem wrzeszczy starszy, — ja jestem zielony? A masz, a masz!" Sypią się uderzenia po twarzy. Dziki jęk i płacz dochodzi do naszych cel.

Ale nie lepiej obchodzono się i z tymi, którzy umieli po rosyjsku. Dwie godziny ranne były dla nas torturą. W chwilach bicia współtowarzyszy po celach, człowiek jak nieprzytomny siedział, czekając swojej kolei...

Przez pierwsze dwa tygodnie odbywaliśmy tak zwany okres poprawczy, w ciągu tego czasu pozbawieni byliśmy spaceru, książek, prawa wypisywania produktów żywnościowych i t. p. Dla ludzi palących, pierwsze dwa tygodnie były piekielną męką.

Po dwóch tygodniach wprowadzono nas na spacer, trwający piętnaście minut. W czasie spaceru trzeba było chodzić po wojskowemu, tych, którzy nie potrafili chodzić na komendę, bito w naszych oczach, kiedy jeden dozorca bił więźnia, inni w szatański sposób ryczeli ze śmiechu. Kiedy piszę o tem po tylu latach, jeszcze zimny dreszcz przechodzi po mojem ciele.

Ludzie zdrowi po kilku tygodniach tracili zmysły, zdarzały się bardzo często wypadki oblewania się naftą i podpalania żywcem, byle skrócić mękę moralną i fizyczną. Krew w żyłach krzepnie, gdy wspomnę o śmierci towarzysza Demidowa, który rzucił się z czwartego piętra, mając zakute ręce i nogi. Ze złamaną ręką i nogą żył jeszcze dwa tygodnie i skończył wśród straszliwych katuszy!...

Stosunek administracji do więźniów nie był jednakowy. Najgorzej obchodzono się z Żydami, nie było takiego łajdactwa, któregooby wobec nich nie stosowano. Znałem kilku bundowców, niewinnie osądzonych za zamach na rewirowego. Wśród nich był mały, nadzwyczajnie delikatny chłopiec — Abram (nazwiska nie pamiętam); kiedy bito tego chłopca w oczach naszych, a on nieborak wił się z bólu, wówczas zakrywałem oczy, żeby nie widzieć tego, ale napróżno, głos jego, głos męczonego dziecka dziś jeszcze słyszę i do śmierci nie zapomnę!...

Nielepszy był stosunek administracji więziennej do polskich rewolucjonistów. Przy każdej sposobności rzucono nam w twarz obelgi, bito i znęcano się nad nami.

Wogóle należy stwierdzić, że kryminaliści cieszyli się większą sympatją u administracji, niż polityczni.

Orgje bicia i katowania więźniów odbywały się w biały dzień, głosy mordowanych ludzi dostawały się za mury więzienia, a mimo

to nadzór prokuratorski przyglądał się obojętnie temu barbarzyństwu! . . .

Odnosiło się wrażenie, że na rozkaz centralnych władz, naczelnik więzienia Macewicz (podobno Polak) wykonywał masową egzekucję nad tymi, których sądy carskie nie zdążyły pomordować! . . . Często słyszało się, iż za pobicie na śmierć, dozorey dostają medale i 3-rublowe podwyżki pensji! Echa gwałtów, jakie stosowano do nas, przedostawały się do opinii publicznej, za granicę państwa carów. Studenci uniwersytetów Wiednia, Zurychu, Paryża, Krakowa, Lwowa, urządzali protesty z powodu głośnej mordowni w Orle.

Niewymowna wściekłość ogarnia, gdy uprzytomnię sobie, że podobnym panom, jak Macewicz, skarb odrodzonej Polski udzielał emerytury. Przed wojną odbył się w Łodzi proces jednego z tych, którzy w Tobolskiej katordze mordowali politycznych więźniów. Pan ten otrzymywał emeryturę zato, że był wiernym sługą cara, pomagał carowi mordować więźniów politycznych!

Rumieniec wstydu pali, gdy pomyślę, że rodziny byłych więźniów politycznych, którzy przedwcześnie zgasli, przymierali głodem wtedy, gdy różni szubrawcy, zrzuciwszy mundury moskiewskie, udają "patriotów" i otrzymują ze Skarbu Państwa świadczenia!

Należy powołać specjalny trybunał, który będzie miał za zadanie sądzić tych, którzy wysługiwali się okupantom.

Historja musi dać satysfakcję ceniom Mireckich, Okrzejów, Szulmanów, Izdebskich i wielu innych rewolucyjnych żołnierzy polskich, którzy zginęli w obronie wolności i godności ludu polskiego.

PRACA W KATORDZE.

Po miesiącu wezwano mnie i innych do kancelarji przed oblicze jednego z pomocników naczelnika więzienia, który zarządzał warsztatami więziennymi. P. pomocnik pokolei rozpytywał każdego z nas o nasz zawód na wolności.

Z liczby trzydziestu nie znalazło się ani jednego fachowca do warsztatów tkackich, a pomimo to pan pomocnik postanowił, że z nas zrobi tkaczy. Po tej rozmowie wróciliśmy do cel po nasze rzeczy i zostaliśmy przeniesieni do głównego gmachu, gdzie w ogólnych celach na czterech piętrach siedziało zgórą ośmset katorżników. Mnie posadzono na II piętrze do celi Nr. 2. W celi tej siedziało z początku 33 więźniów, a później 48. Większość z naszej celi pracowała w tkalni. Nauka sztuki tkackiej trwała dla mnie osobiście sześć dni. Siódmego dnia otrzymałem warsztat na własny "rachunek." Tkałem ręcznie na prymitywnym warsztacie pedałowym szare płótno na bieliznę dla więźniów. Z początku szło mi to dość powoli, ale po miesiącu tkałem już po 20 arszynów dziennie.

Zarabiałem tygodniowo 28 kopiejek, z czego 10 proc. pozostawało, jako żelazny kapitał w kasie więziennej, a za resztę mogłem sobie kupić coś do jedzenia.

O zarobku nie można było marzyć. Jakkolwiek sama praca była ciężka ze względu na kajdany w których chodziłem, to jednak w warsztatach czas przechodził prędzej, a dozorca Trofimowicz, specjalista w sztuce tkackiej, był przyzwyczajonym człowiekiem, chociaż bardzo wymagającym. Chętnie chodziłem do pracy. Uciążliwa była dwukrotna rewizja, jakiej podlegaliśmy w południe i wieczorem. Przy rewizjach nie obeszło się bez bicia za różne drobiazgi. Po takich scenach zastanawiali się towarzysze — a byli naiwni — jak trzeba postępować, żeby uniknąć bicia. Zwykle znajdował się jakiś dobroduszny „chochoł,” który pouczał nas, w jaki sposób możemy uniknąć bicia. Niestety, nauki te były krótkotrwałe, często po godzinie niemal na nauczyciela, jak grom z jasnego nieba, spadało bicie akurat z tego powodu, który nas miał od bicia ochronić.

Podczas długoletniego przebywania w więzieniu, stwierdziłem wśród więźniów ogromną łatwowierność, dochodzącą do naiwności. Często jak dzieci stwarzali sobie najfantastyczniejszą iluzję, byle uciec od straszliwej rzeczywistości.

Wieczorem czytałem z zamiłowaniem książki, oczywiście rosyjskie. Dzięki czytaniu nauczyłem się zupełnie swobodnie mówić po rosyjsku. Bibliotekę mieliśmy wspaniałą. W celi, w której siedziałem, było kilku towarzyszy Rosjan i Gruzinów. Większość była kryminalistami. Wieczorami po apelu dwie godziny wolno było cicho rozmawiać. Często bardzo lubiłem rozmawiać z towarzyszami gruzińskimi. Przeważnie jednak czytałem.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, obchodzone w katordze dość uroczystie. Uroczystość ta polegała na sutem jedzeniu i odświętnem ubraniu dozorców, którzy zawieszali medale i łuskali „siemiaczki” (pestki). W czasie świąt rzadko zdarzały się wypadki bicia.

W Katordze Orłowskiej pracowało bardzo wielu więźniów. Oprócz tkalni była duża stolarnia, warsztaty mechaniczne, kuźnia, w której produkowano w dużych ilościach, rękami więźniów, kajdany. Charakterystyczne jest, że większość pracujących w kuźni byli anarchiści z południa Rosji. Na temat fabrykacji kajdan wśród więźniów politycznych odbywały się bardzo ostre tarcia. Jeżeli chodzi o mnie, to nie ukrywałem swojego niezadowolenia z powodu robienia kajdan przez więźniów politycznych, dochodziło nawet do ostrych scysyj pomiędzy mną a towarzyszami.

Sympatyczne stosunki panowały w introligatorni, gdzie pracowali przeważnie polityczni. Między innymi pracował tam tow. Morawski, późniejszy prezes Związku Spożywców.

Ogromne były warsztaty krawieckie z dużą ilością maszyn, pędzonych elektrycznością, w warsztatach tych pracowało kilku naszych towarzyszy.

Najwstrętniejsza była praca przy robieniu pakuł. Stało kilkanaście maszyn, poruszanych siłą ręczną, wśród których ludzie pracowali jak za mgłą. Kurz był wprost nieprawdopodobny. Warsztaty te nazywano fabryką suchot. Kierownikiem tych robót był dozorca

Wietrow, małego wzrostu, zły, jak głodny pies. Pracowali tam przeważnie Sartowie, Żydzi i różne plemiona kaukaskie, z innych narodowości tylko za karę zmuszano do pracy przy pakulach.

Życie w celi było dość przykre dla mnie ze względu na różne świństewka, jakie robili kryminaliści. Co do prac w celi, to ciężko było nosić w skrzyniach chleb dla całego oddziału; naturalnie noszenie to odbywało się kolejno przez wszystkie cele, ale w celach również z wielkim trudem zaprowadzono kolejno noszenie. Mycie podłóg było również ciężkie, szczególnie w dzień roboczy, gdyż wszystkiego było pół godziny na wypicie herbaty i wymycie podłogi.

Pod względem higienicznym było źle, brud był ogromny, do łaźni chodziliśmy raz na miesiąc. Słomę w poduszkach zmieniano dwa razy do roku, najprzykresze było to, że trzeba było spać na brudnej poduszce. Wszy było sporo.

Raz na miesiąc mogliśmy pisać listy, pisywałem listy Sartom, którzy lubili mnie bardzo. W rozmowach, gładząc swoje duże brody, twierdzili, że "Polak jakszy czelowiek" — (Polak dobry człowiek), a "uruss jaman czelowiek" — (Rosjanin zły człowiek).

Mniej więcej raz na sześć tygodni przyjeżdżał do katorgi miejscowy ksiądz, dla którego w celi urządzano specjalną kaplicę, gdzie odprawiał nabożeństwo. Chętnie chodziliśmy na nabożeństwo, bo tam mogliśmy zobaczyć się wzajemnie.

Z przykrością muszę stwierdzić, że proboszcz miejscowy był przez nas nielubiany. Traktował nas nie jako więźniów politycznych, lecz jako ludzi, którzy zbłądzili występując przeciwko prawdziwej władzy. Po drugie nie potrafił mówić, a wysiłał się na "mądre" kazania, zaczynał górnolotnie o różnych kwestjach naukowych, a kończył na głupstwach. Wymowy nie miał żadnej. Zdarzało się jednak, że raz na kwartał zjawiał się u nas jakiś młody ksiądz, który z wilczym biletem jeździł do parafjan katolickich w Rosji. W tych wypadkach przeżywaliśmy prawdziwą radość. Zwykle taki człowiek informował nas, naturalnie w sposób oględny, o wszystkim. Tych księży jak najmilej wspominam ja i inni towarzysze.

Pomoc lekarska była zła, lekarzem więziennym był p. Rychliński, łajdak z pod ciemnej gwiazdy. Wiedzieliśmy że jest Polakiem, a gdy który z nas zagadnął go po polsku, wymyślał od ostatnich.

Na sumieniu jego spoczywa nie jedna zamordowana ofiara. 95 procent zmarłych to były ofiary bicia, ale Rychliński nie miał odwagi nazwać zbrodni po imieniu, wręcz przeciwnie — autorytetem lekarza pokrywał dokonywane zbrodnie.

Śmiertelność w katordze była ogromna. Wystarczy powiedzieć, że z partji naszej połowa zmarła w ciągu 5 lat!!

W półtora roku po przybyciu, zachorowałem na zapalenie płuc, miałem przeto możność zbliżona obserwować zachowanie się Rychlińskiego. Traktował chorych tak samo brutalnie jak cała administracja więzienna, bardzo często umierali ludzie w kajdanach, a miał nie ograniczone prawo decyzji, by choremu na czas choroby zdjęto

kajdany. Osobiście prosiłem go o to, gdy leżałem w kajdanach dwa tygodnie przy temperaturze 39—40 stopni gorączki, wyczerpany ogromnie, a jednak odmówił pozwolenia zdjęcia kajdan. Chorzy, musieli na baczność stawać, gdy pan lekarz wchodził do sali szpitalnej.

Ciekawy jestem, gdzie ten pan znajduje się obecnie. Zaraz po rewolucji uciekł, a szkoda . . .

Po chorobie nie mogłem pracować, szukałem okazji, żeby zrobić jakąś awanturę, za którą posadzą mnie do pojedynczej celi. Niebawem okazja się nadarzyła z powodu chleba, który wydali ze stęchłej mąki. Ponieważ nie przyjąłem chleba, przeniesiono mnie do "pojedynek" w końcu 1909 roku z uwagą — "że sprawowanie moje jest złe."

NIEUDAŁA GŁODÓWKA.

Znów jestem w pojedynczej celi. Po przespanej nocy wsłuchiwałem się uważnie w to, co dzieje się za drzwiami mojej celi. W czasie mojej nieobecności nic się nie zmieniło, tak samo naoślep pędzą ludzie, zakuci w łańcuchy, tak samo dozorca krzyczy i bije kluczami!

To samo obchodzenie cel przez starszego, te same wrzaski bitych ludzi. Więc to na dłuższy czas wprowadzono ten barbarzyński system, — myślałem. Czyż w takich warunkach zdołam przesiedzieć 15 lat?!

W trakcie tych rozmyślań, zgrzyt zamka i słowa komendy — baczność! Sapiąc, wtoczył się do mojej celi wraz z dyżurnym pomocnikiem starszy dozorca.

Stanąłem na baczność, "Władza," nie witając się ze mną przez usta pana hr. Songajłło zawiadomiła mnie, że pozbawiony zostałem w ciągu miesiąca spaceru i książek.

Kiedy pomocnik był na progu, nagle zapytałem: Za co? Songajłło przez ramię rzucił starszemu: "Powiedz za co!" a sam poszedł dalej; drzwi przyknięto, Zagorodnyj podszedł do mnie i uderzył mnie pięścią w piersi, z taką siłą, że omal nie zwałem się z nóg.

Drugą ręką podtrzymał mnie, ze słowami: "Stój!" to jeszcze nie wszystko! — i podniósł rękę w celu uderzenia mnie, odskoczyłem w bok.

— "A! — to ty taki ptaszek, poczekaj!" — wykrztusił ze złością i wyszedł! . . .

W ciągu pół godziny zdecydowałem, że trzeba bronić swojej godności.

Mniej więcej po czterdziestu pięciu minutach dozorca otworzył celę i zawiadomił, że mam iść na 14 dni do karceru. W pierwszej chwili błysnęła myśl, żeby oprzeć się, ale z myśli tej zrezygnowałem i, wzięwszy czapkę, udałem się do karceru. Po odsiedzeniu dwóch tygodni, otrzymałem "grypsankę" od tow. Korotkowa, który pisze mi, że czas najwyższy pomyśleć o obronie godności naszej: proponuje, jako protest głodówkę.

Zaczęła się zawiązywać korespondencja przy pomocy dwóch korytarzowych — Gruzinów, pomiędzy politycznymi.

Miesiąc czasu upłynął. Po miesiącu zostałem wypuszczony na spacer, ale nie z ogólną partją, tylko wyprowadzono nas czterech. Spacerowaliśmy nie parami, lecz jeden za drugim, w odległości 10 kroków jeden od drugiego.

W dwa dni po spacerze, poszliśmy do łaźni, gdzie otrzymałem informacje, że w warsztatach coś się szykuje.

Nie przypisywałem temu żadnego znaczenia, gdyż jeszcze podczas mojego pobytu w ogólnej celi w górnym gmachu rozmawiali ze mną "maksymaliści" na ten temat, chwalać się że lada dzień nastąpi wybuch.

Upłynęło od tego czasu trzy miesiące, a wybuchu nie było. Za to coraz większą liczbę niezadowolonych przeprowadzono z ogólnych cel do pojedynków. Po długich tarapatach postanowiono jednak, że głodówkę rozpoczniemy 1-szego maja. Sygnał do rozpoczęcia głodówki miał dać Korotkow przez uderzenie dzbankiem miedzianym w drzwi.

Noc z ostatniego kwietnia na pierwszego maja spałem źle, instynktem czułem, że od tej głodówki zależeć będzie przyszłość wszystkich, trapiła mnie zarazem wątpliwość, czy aby wszyscy polityczni w pojedynkach rozpoczną głodówkę?

Godzina czwarta wybiła na zegarze, w piętnaście minut potem rozległ się dzwonek do wstawania (latem budzono wcześniej). Wy-noszenie kubłów zakończyło się i rozpoczęło się wydawanie chleba.

Czekam z napięciem sygnału; jakoś nic nie słychać!

Każda minuta wydaje się godziną, wreszcie, gdy zegar uderzył pięć razy, rozległ się gwałtowny stuk w drzwi. Nadstawiam ucha do specjalnej okrągłej dziury w ścianie, przez którą wołaliśmy dozorców, słyszę niezwykle ruch na tem skrzydle, gdzie siedział Korotkow. Znow słyszę bicie w drzwi i krzyk innego towarzysza, że Korotkowa biją. Parę sekund potem kilka cel wali w drzwi. Łapię za dzbanek i walę również!

Cała ta akcja trwała około pięciu minut. Na alarm zleciała się chmara dozorców, i zaczęli wywlekać nas z cel do łaźni. Tam przygotowano nam ogólną masakrę z nadzwyczajnem okrucieństwem, bito gdzie popadło. Po przyprowadzeniu do cel po tej masakrze skazali nas, prócz tego, na czternaście dni na chleb i wodę, zabierając pościel.

Naturalnie, że po takiej awanturze, głodówki nie było, ale sam fakt protestu nie został bez wpływu na stosunek administracji do kilku z nas.

Po odbyciu tak zwanego karceru, znów pozbawiony zostałem spaceru i książek. Na moje żądanie, żeby dano mi książki do czytania, otrzymałem . . . Nowy Testament w języku polskim.

Nie żałuję, że kilka razy czytałem Nowy Testament, czasem korzystam ze znajomości niektórych ustępów, cytując je na zgromadzeniach, kiedy księża wdają się ze mną w dyskusję.

KRWAWA MASAKRA W WIĘZIENIU.

W połowie lipca otrzymałem informacje, że w warsztatach były jakieś awantury. W związku z tym ogromne masy więźniów z górskich plemion etapem przystano na "usmirenje" do orłowskiej katorgi. Całkiem niespodziewanie zostałem znów przeniesiony do ogólnej celi, i zpowrotem popędzono mnie do roboty w tkalni.

Na drugi dzień dano mi do nauki jakiegoś Lezgina, z którym w żaden żywy sposób nie mogłem się porozumieć.

W połowie lipca otrzymałem informacje, że w warsztatach gdzie wyrabiają pakuły, ma zorganizować się ucieczka, a w razie gdyby się nie udała, to przynajmniej zmasakrują dozorców siekierami. Słowem, będzie awantura taka, jak mi mówił jeden z towarzyszy rosyjskich, że na dnie piekła słychać będzie!

Około 20 — 21 lipca po południu miała zacząć ucieczkę 5-ta maszyna, przy której pracowali sami socjaliści — maksymaliści z Brińska. Póki ucieczka była w projekcie, wielu było kandydatów z chwilą rozpoczęcia samej akcji, prawie wszyscy stchórzyli.

O godzinie piątej po południu usłyszałem kilka wystrzałów rewolwerowych i urywane okrzyki. Wnet skombinowałem, że zaczęto akcję. Istotnie jeden z więźniów podszedł do dozorca Wietrowa, z prośbą o pozwolenie napić się wody. Dozorca pozwolił, więzień zrobił wtył zwrot i w chwili, gdy miał pójść napić się wody, dozorca skierował swoje kroki w przeciwną stronę. Wówczas tow. Antonow podskoczył i chwycił go za gardło, dozorca był jednak znacznie silniejszy od więźnia. Chwil kilka szamotali się obydwa, a traf chciał, że ani jednego dozorca nie było na podwórku.

Widząc to inny więzień, który o niczem nie wiedział, podskoczył do Wietrowa i wyrwał mu rewolwer, towarzysz Antonow puścił na chwilę dozorcę i chwycił topór z tokarni stolarskiej, a zanim zdążył się Wietrow zorjentować, topór spadł mu na głowę, przecinając na pół czaszkę.

Wietrow padł trupem. Wówczas przypadkowy pomocnik Antonowa oddał mu rewolwer, a sam skrył się między maszyny. Z rewolwerem w ręce rzucił się Antonow na drugą stronę, chcąc wydostać się na ulicę przy pomocy drabiny. Na podwórku tem stał dozorca z karabinem. Chwil kilka obserwowałem z okna pierwszego piętra, jak dwaj ludzie czyhają na siebie wzajemnie. Przewaga była po stronie dozorca, który mniej był zdenerwowany, to też gdy Antonow wystrzelił wszystkie naboje, dozorca złożył się i celnym strzałem położył go trupem na miejscu. Po dokonaniu tego wyjął gwizdawkę i zaczął przeraźliwie wzywać pomocy. Na alarm dozorca zlecieli się wszyscy. Naczelnik wydał polecenie żołnierzom strzelania bez pardonu do wszystkich. Żołnierze walili salwami do kłęczących ludzi, którzy błagali o ratunek. Trwało to około 20 minut.

Dopiero gdy przyjechał gubernator, przestano strzelać.

Zabitych było 17 więźniów i jeden dozorca, rannych 167.

W godzinę po tej masowej strzelaninie do bezbronných ludzi,

ściągnięto ze wszystkich zmian dozorców i rozpoczęto w innych warsztatach rewizję. Rewizja nie mogła nic wykazać, bowiem w tkalni, która mieściła się na pierwszym piętrze, jak również w stolarni, więźniowie byli zamknięci.

Opisywać szczegółów rewizji nie podejmuję się, zbyt była potworna i powiem krótko, że w dniu tym wszystkich więźniów bito w niemiłosierny sposób!

Na drugi i na trzeci dzień nie puszczono nas do roboty, jacyś podejrzani prowokatorzy zaczęli wskazywać na poszczególnych towarzyszy, których w nocy wyprowadzono z cel i sieczono różgami. Kładąc się spać, nikt nie był pewny, czy w nocy nie wywołają go na egzekucję.

W ciągu trzech dni wysiekli 600 więźniów, ogromna większość sieczonych różgami byli to polityczni. I tu znów wszystkich Żydów wyciągnięto z cel i sieczono różgami, nie wyłączając małego Abrama. Cóż to za potworne uczucie, gdy sieką różgami, ból fizyczny straszny, ale nie mniejszy ból moralny. Kto był tak obity, napewno całe życie pamiętać będzie.

Po tej krwawej masakrze zapanowały wprost dzikie obyczaje w katordze, namnożyło się szpicli, którzy weszli wielką zmwę, przy pomocy anarchistów z zakładów briańskich.

Naczelnik Macewicz, jako główny kat, jego pomocnicy Sągajłło i Aninkow, oraz starszy Kozłonkin, przy pomocy prowokatorów, preparowali wspólnie z prokuratorem sprawę o zbrojny napad na dozorców z zamiarem ucieczki.

Sledztwo trwało pół roku; pociągnięto do odpowiedzialności 16 towarzyszy, z tego 3-ch Polaków. Wszyscy stanęli przed sądem wojennym. Na sprawę, która trwała trzy tygodnie, zjechało się około dziesięciu najwybitniejszych adwokatów z Sokołowem na czele. Podstawy oskarżenia były tak kruche, że przy wizji lokalnej na miejscu stwierdzono, że wszyscy więźniowie ranni byli ztyłu, a więc do nich strzelano, a nie więźniowie do dozorców.

W następnym tygodniu toczyła się wielka rozprawa nie przeciwko 16 oskarżonym katorżnikom, a przeciw miejscowej władzy więziennej. Z procesu, z którego miał wyjść jako triumfator, Macewicz wyszedł jako zwykły zbrodniarz, albowiem wszystkich towarzyszy sąd wojenny uniewinnił. Wyrok uniewinniający uderzył całą siłą w system Macewicza i jego pomocników. To też w trzy miesiące po sądzie całą administrację zmieniono.

NOWY NACZELNIK.

W pierwszych dniach października 1910 roku rozeszła się pogłoska w katordze, że zjawi się nowy naczelnik; w całym więzieniu myto i czyszczono wszystko, wszystkim więźniom zmieniono słomę w siennikach i poduszkach. Dozorcy, odświętnie ubrani, rozwiesili medale na piersiach w oczekiwaniu "nowej władzy".

Wśród więźniów panowało również zainteresowanie zmianą "władzy", czemu dziwić się nie można, wszak naczelnik katorgi to pan życia i śmierci tysiąca katorżników. Powszechnie sądzono, że po takim łajdaku, jakim był Macewicz, nie może już być gorszy . . .

Nareszcie po południu, wśród ogromnego zainteresowania całej katorgi, zjawił się nowy naczelnik, p. Senajski.

Wielka chmara dozorców, uszeregowanych na podwórku na przeciwko naszych okien, oczekiwała naczelnika. Słyszymy donośny głos starszego pomocnika Sağajło : Ba-cz-no-ś ! Potem nastąpił raport i przywitanie.

Na tem zakończył się pierwszy dzień "urzędowania" p. Senajskiego.

Na drugi dzień Senajski zwiedził główny gmach w czasie pracy. W celach nie było prawie nikogo, robił awanturę oddziałowym dozorcóm, że w celach jest brudno, że brezenty, na których ludzie śpią, są wstrętnie brudne i t. p. Gdy przyszliśmy na obiad, polecono nam wieczorem skrzynki wyczyścić szkłem, kazano nam również zdjąć brezenty, otrzymaliśmy nowe.

Pierwsze dwa tygodnie myto, czyszczono cele, korytarze i przyprowadzano do porządku ubranie i obuwie więźniów, Intendent więzienia w ciągu tych dwu tygodni miał więcej roboty, niż przez cały czas poprzedni ; okazało się, że Macewicz nie tylko był katem, lecz i złodziejem. Wykazywał w książkach, że co kwartał daje nowe obuwie, a dawał raz na rok, to samo było z ubraniami, bielizną i pościelą.

Pod względem higienicznym zmieniło się w katordze nie do poznania. Robactwo gdzieś znikło.

W ślad za uporządkowaniem cel, sprowadził Senajski komisję lekarską, która posegregowała więźniów według stanu zdrowia. Oddzielono gruźlików od zdrowych, stworzono pośrednią grupę "początkujących," słabszych umieszczono na dolnych korytarzach, pozwolono kupić wszystkim więźniom miseczki, żeby każdy jadł oddzielnie. Zarządzenie to miało na celu ochronę zdrowych. Słowem zmienił się układ bytowania więźniów. Jakkolwiek zarządzenia w kierunku utrzymania czystości były słuszne, tem niemniej dla tych, co chodzili do pracy, były bardzo uciążliwe, albowiem zbyt krótki był czas pomiędzy apelem, a wyjściem do pracy. Na tem tle zaczęły się szykany administracji więziennej.

Oczywista — robiono to stopniowo, metodycznie, od czasu do czasu nawet — z okrucieństwem . . .

Naczelnik Senajski był to człowiek jeszcze młody, jasny blondyn, wysokiego wzrostu, nosił mundur wojskowy w randze porucznika. W miesiąc po objęciu Orłowskiej katorgi, za Senajskim zjawiło się około trzydziestu jego dozorców. Rozmieszcili ich w ważniejszych punktach, oddał im wszystko, co miało jaką wartość. A gdy usadowił "swoich," rozpoczęła się orgja szykan.

Wstawił się Senajski jako człowiek, który za lada błahostkę, skazywał więźniów na chłostę.

W ślad za nowym kursem Senajskiego, który do systemu bicia po twarzy wprowadził chłostę, jako przeciętną karę za drobne uchybienia, — wśród więźniów obudziła się reakcja.

Wiara w lepsze warunki po ustąpieniu Macewicza była tak powszechna, że ludzie poprostu nie mogli nagiąć się do roli niewolników, których za lada błahostkę sieką różgami. Jeżeli się zważy, że przez pierwszy miesiąc cała katorga była świadkiem zewnętrznej poprawy, to łatwo zrozumieć stan psychiczny więźniów, rwących się do walki w obronie godności własnej. Kto raz zakosztował lepszych warunków, choćby tylko w postaci prawa do kupna miski, to już pozycji tej nie odda łatwo. Z każdym dniem coraz więcej było wypadków jawnej niesubordynacji.

Senajski wściekał się, jak głodny pies, łajał nas, dozorców. W pojedynkach wszystkie cele były zajęte przez więźniów, którzy nie chcieli być biernym narzędziem wybryków Senajskiego i jego siepaczy.

W trzecim miesiącu celi Nr. 2 na pierwszym piętrze urządziła zbiorowy protest. W celi tej siedzieli introligatorzy, między nimi tow. Morawski z Warszawy. Wszystkich ukarano, zabierając pościel i pozostawiając ich w tak zwanym "widnym karcerie" na chlebie i wodzie. Towarzysów Kuźniecowa i Morawskiego wysieczono różgami. Wiadomość ta poruszyła całe więzienie.

W ciągu tygodnia prowadziłem razem z kilku innymi towarzyszami usilną agitację na rzecz protestu w obronie towarzyszy introligatorów.

Ustaliliśmy, że w niedzielę zażąda nasz oddział naczelnika i oznajmi mu, że więźniowie nie myślą biernie znosić wybryków administracji więziennej.

W połowie tygodnia z niewiadomych przyczyn wszystkich nas przeniesiono z trzeciego piętra na pierwsze, nas posadzono do celi, w której siedzieli introligatorzy. Fakt ten podzielał na nas podniecająco. W sobotę raz jeszcze przeprowadziliśmy rozmowę ze wszystkimi celami na naszym korytarzu, a z rozmów wynikało, że nikt się nie uchyli od ustalonej formy protestu.

Całe przedpołudnie w niedzielę byłem bardzo podniecony, albowiem ja miałem formułować żądania w imieniu wszystkich z naszej celi.

Po moim przemówieniu wszyscy mieli krzyknąć, że solidaryzują się z tem, co ja powiedziałem. Wybrałem taką formę sądząc, że wszystkich do karceru nie posadzą.

O godzinie trzeciej po południu rozległ się zgrzyt zamka i komenda: baczność! Do celi naszej wszedł naczelnik Senajski, a za nim około 20 dozorców. Staliśmy wszyscy, uszeregowani według wzrostu. Senajski przeszedł koło nas, obrzucił nas złym wzrokiem,

coś szeptnął starszemu, poczem zwrócił do nas, patrząc na mnie :
“ Czego chcieliście ode mnie ? ”

Zapytał tonem, w którym brzmiała groźba : “ A niechno tylko który z was ośmieli się mówić, już ja wam pokażę.”

Kilka sekund milczenia, poczem głosem mocnym, z całym wysiłkiem woli zwracam się do Senajskiego i mówię : “ Od pewnego czasu pan i pańscy podwładni zaczęliście stosować względem nas — których posadzono tu za przekonania, — system dzikich, niczem nieusprawiedliwionych represyj. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy pozbawieni formalnych praw i wolności, ale życie i sumienie nasze należą do nas. Jeżeli pan nie zmieni systemu gwałtów, to my zmuszeni będziemy sami bronić się resztkami sił . . . ”

Nie zdążyłem dokończyć zdania, gdy Senajski jak tygrys skończył do mnie, zgrzytnął zębami i wrzasnął : “ Co ? ! A jeszcze kto tak myśli, jak ten ? ” — tu wskazał palcem na mnie i spojrział takim wzrokiem na wszystkich, że towarzysze z przerażenia zamarli. Po grobowym milczeniu całej celi potrząsnął triumfująco głową i rozkazał : “ Zabrać go do karceru, jutro wydam decyzję, co zrobić z nim.”

Rzuciło się na mnie dwóch drabów, wyprowadzili mnie na korytarz i poprowadzili do karceru. W pojedynkach dozorca Bogomołow, puszczając mnie do “ karceru,” pchnął z taką siłą, że upadłem na drewniane nary. W odpowiedzi rzuciłem soczyste wyzwisko pod jego adresem. Odtąd postanowiłem na każdą obelgę reagować.

Drugi i trzeci dzień minął, a Senajski żadnych decyzyj co do mnie nie dawał, byłem świącicie przekonany, że otrzymam chłostę.

Po siedmiu dniach wypuszczono mnie z karceru i posadzono do słynnego dozorca Bogomołowa. Któż go nie pamięta z tych towarzyszy, którzy wówczas w katordze siedzieli ? Suchy, wysokiego wzrostu, o głupim wyrazie oczu, zły, jak człowiek, którego sumienie obarczone jest notoryczną zbrodnią . . .

Trzy miesiące borykałem się z tym drabem : nie mogę opisać poniżeń i obelg, jakie spadały na mnie. Mam jednak to przekonanie, że za każdym razem, gdy Bogomołow wchodził do mojej celi, to po skończonej rozmowie, wychodził jak pies, którego wybito sękatym kijem. Zacząłem nowy okres. Doprowadziłem do tego, że pozostawiono mnie w spokoju. Od czasu do czasu zaglądano tylko do mojej celi w czasie spaceru i unikano ze mną rozmowy. Tak przesiedziałem z górą rok. W tym okresie nauczyłem się tak soczyście besztać, jak może tylko moskiewski dorożkarz.

Na początku 1912 roku zjawił się u mnie podpułkownik żandarmerji na badanie. Dowiedziałem się że Sukiennik “ sypie,” żandarm bardzo grzecznie i z dużą dozą sprytu wypytywał o nazwisko moje. Śmiałem się z tego kundla carskiego, zbywając go, jak ostatniego osła, kilku złośliwymi uwagami. Późną jesienią przewieziono mnie z Orłowskiej katorgi do Piotrkowskiego więzienia na skutek prowokacji Sukiennika.

DO KRAJU NA SPRAWĘ.

W połowie grudnia 1912 roku, po czterech latach przebywania w murach katorgi orłowskiej, wracam do kraju, wracam nie jako wolny człowiek, lecz pod konwojem uzbrojonych żołnierzy.

A jednak wszystko we mnie gra radością, że chociaż z za krat wagonu więziennego zobaczą inny świat i innych ludzi.

Pierwsze wrażenie — to była nieklamana radość. Nie myślałem wcale, że jadę do więzienia piotrkowskiego, gdzie prowokator Sukiennik "sypie," natomiast żyłem jedną myślą i jednym pragnieniem, żeby choć na krótki czas odetchnąć w innej atmosferze.

Byłem szalenie wycieńczony fizycznie i moralnie, zmiana warunków była wprost koniecznością.

Tą samą drogą, którą jechałem na katorgę, wracam do kraju. W Smoleńsku więzienie odnowione, ściany wymalowane olejną farbą, przemyślnie pluskwy gdzieś znikły z cel tego niegdyś brudnego więzienia. Mińsk, Brześć i Siedlce. Spać nie mogę, serce tłucze się, jak u pojmanego ptaka, oczy gonią w ciągu dnia po polach z miłością i uczuciem radości. — To już nasze Podlasie, — myślę, a gdy wyruszyliśmy z Siedlec, oczami duszy wybiegałem naprzód, wyobrażając sobie obrazy Warszawy i okolic. Czytałem w ilustrowanych pismach rosyjskich, że Warszawa rozbudowuje się, że powstają wielkie gmachy . . .

Radość wielka, gorąca, uderzyła mi do głowy i serca: Warszawa! . . .

Przebywanie na brudnym "zborniaku" (przesyłkowe więzienie) w oczekiwaniu na partję do Piotrkowa, wydawało mi się czemś nadzwyczaj "miałem."

Trzy dni czekałem na wyjazd do Piotrkowa.

Z Warszawy do Piotrkowa wieziono nas nocą, nad ranem w niedzielę partja nasza przybyła na miejsce.

Po przybyciu z dworca kolejowego do więzienia, przeprowadzono gruntowną rewizję, po rewizji ulokowano nas w tak zwanym "mecu" u Mikołajczyka, który zaraz po przyjsciu na "służbę" o godzinie szóstej rano, zrobił przegląd nowych "pensjonarzy" więzienia piotrkowskiego. Sądziłem, że mnie nie pozna, ale gdzie tam, poznał mnie odrazu i zakomunikował, iż towarzysze mnie tu dawno oczekują, i że zaraz idzie do kancelarji, żeby "dolożyć", kogo to sprowadzono. Istotnie, w niecałą godzinę byłem już przeniesiony na tak zwany korytarz "sybiracki". Przy przeprowadzeniu asystował pomocnik naczelnika więzienia Preobrażeńskij, którego nazwano "końskim łbem." Niezależnie, od zamku w drzwiach, z polecenia naczelnika więzienia Nikolskiego, zawieszono na drzwiach moich dużą kłódkę, a klucza nie oddano oddziałowemu Marcincowi, lecz Turskiemu, który był dyżurnym "rozwodiaszczym". O godzinie ósmej otrzymałem śniadanie, kucharz wyróżnił mnie jako "obratnika" (tak nazywali złodzieje tych, co byli już na katordze).

Po śniadaniu zawitał do mojej celi naczelnik więzienia, p. Nikolski, ten sam, na którego robiony był zamach w Lublinie. Nikolski w rozmowie ze mną był niezwykle uprzejmy, w mojej obecności polecił dozorca Marcincowi, żeby na każde zawołanie zgłaszał się do mnie i t. d. Ale skoro wyszedł na korytarz, to surowo polecił pilnować mnie, jak oka w głowie. Po urzędzeniu się, wlażłem na okno, żeby zorientować się, jak wygląda sytuacja na podwórkach spacerowych. W pawilonie zauważyłem kilku znajomych towarzyszy. Po południu wyprowadzono mnie na spacer, na podwórko "sybirackie". Podczas spaceru, obywatel Dratwa informował mnie o panujących nastrojach wśród więźniów politycznych, był oburzony na upadek zasad, gorszył się tem, że w pawilonie siedzi prowokator Zygulski, z którym towarzysze chodzą na spacer. Miał ze zło, że niewiasty nasze siedzą w jednej celi z piękną Heleną — kochanką ks. Macocha i t. p. Niestety, większość tych zarzutów była zupełnie uzasadniona. Poziom nieco się zmienił w porównaniu z okresem 1906 — 1907 roku.

Po kilku dniach zjawił się u mnie sędzia śledczy w towarzystwie podprokuratora sądu okręgowego. Dowiedziałem się, że Sukiennik wyspał mnie w tych wszystkich sprawach, któremi kierowałem na terenie okręgu Częstochowskiego, prócz tego zadenuncjował mnie, że brałem udział w napadzie na pociąg pocztowy na stacji Rogów.

W tych wszystkich sprawach, gdzie prowokator przyznał się do bezpośredniego uczestnictwa w akcji, wytaczano sprawę wszystkim tym, kogo on "sypał", natomiast, jeżeli chodziło o pogłoski, to prowokatorowi nie wierzono.

Naturalnie, że ze wszystkich spraw nic sobie nie robiłem z wyjątkiem "rogowskiej sprawy", ale na to, że brałem udział w tej akcji, nie mieli żadnego rzeczowego dowodu. Za inne sprawy nie mogli mi nic więcej dać, gdyż wymiar kary mojej w sądzie wojennym był na to za duży.

Była to jednak duża sprawa; pociągnięto do odpowiedzialności 87 osób. Do sprawy tej należała cała masa towarzyszy, którzy dziś zajmują różne stanowiska społeczne i państwowe, że wymienię tow. tow. Klempińskiego, Weisłę, Andrzeja Radka, Wojciechowskiego i wielu innych.

W czasie mojego pobytu na tak zwanym "sybirackim" korytarzu, pewnego dnia dozorca Marciniak, w czasie "wychodu", wręczył mi gazetę ze słowami: "Niech pan czyta, a ja będę pilnował".

Nie podejmuję się opisać ogromnego wrażenia, jakie na mnie zrobił fakt otrzymania gazet po czterech latach. W pierwszej chwili nie wiedziałem, czy mam czytać, czy też tylko patrzeć na gazetę; stan taki trwał krótko, ciekawość była zbyt wielka. Wszak był to rok 1912; w roku tym narastały wielkie wypadki wojenne, na Bałkanach wrzało, jak w ulu. Wojna europejska wisiała już w powietrzu.

W miesiąc później przeniesiono mnie z gmachu "sybirackiego" do pawilonu, posadzono na pierwszym piętrze w celi Nr. 16. Na tym

samym korytarzu siedział również Radek z późniejszym kapitanem Wojciechowskim. Często wśród późnej nocy Radek wybuchał śmiechem w swojej celi. Śmiech ten słyhać było na całym korytarzu.

W pawilonie otrzymałem wiadomości o zmianach w Partji. Poinformowano mnie, że we Lwowie grupa towarzyszy z niezającym już Feliksem Perlem na czele, utworzyła opozycję w stosunku do posunięć większości Centralnego Komitetu. Wiadomości te były dla mnie czemś niepojętym, szczególnie, gdy dowiedziałem się o likwidacji bojowej organizacji na zwołanym zjeździe przez towarzyszy: Arciszewskiego i Gibalskiego.

Przed samymi świętami Wielkiej Nocy konfrontowano mnie z towarzyszką Marją Gliksonówną (obecnie Mańkiewiczową), naturalnie ani ona mnie, ani też ja jej nie "poznałem."

W połowie 1913 roku przywieziono z Łodzi towarzysza Pużaka, który skazany został na 8 lat katorgi.

Po zakończeniu śledztwa i wręczeniu aktu oskarżenia, mnie, tow. Klempińskiego, Dolacha i innych wyeliminowano ze sprawy, gdyż mieliśmy już taki wysoki wymiar kary, że więcej nie nam dać nie mogli.

Czekałem w końcu lipca 1913 roku na wyjazd zpowrotem do katorgi. Cały czas siedziałem sam, to też często rozmyślałem nad sytuacją polityczną. Wiedziałem, że organizacja była niemal rozbita i jedni siedzą w więzieniach, inni dawno już nie żyją. Kontrrewolucja carska triumfuje, czy na długo? Najbliższa przyszłość po-każe!

W pierwszych dnia sierpnia, tą samą drogą przewieziono mnie zpowrotem do orłowskiej katorgi.

Z POWROTEM NA KATORGĘ.

W powrotnej drodze z kraju do katorgi otrzymałem w Smoleńsku informację, że w Orle są poważne zmiany w składzie administracji. Wiadomość tę przyjąłem obojętnie, mając gorzkie doświadczenie ze zmianą administracji po krwawej masakrze 1910 r.

Bądź co bądź jechałem z dużym zapasem energii, albowiem w Piotrkowie znakomicie wzmocniłem swoje siły.

Idąc z dworca kolejowego w Orle do katorgi, przyglądałem się uważniej kolorytowi miasta, poprzednim razem byłem zajęty różnemi troskami, obecnie idąc do więzienia, które znam, w którym wywalczyłem sobie pewne "przywileje."

Wechodząc do kancelarii, uderzony zostałem zmianą w obejściu się ze mną. Przyjął mnie dość uprzejmie jakiś wysoki blondyn, dyżurny pomocnik, rozpytywał o poprzedni mój pobyt w katordzie, spojrzął na moją kartę w której odnotowywano moje sprawowanie, i polecił jakiemuś nowemu starszemu dozorczy przeprowadzić mnie do słynnej łaźni. Jakaż różnica w postępowaniu! Dowiedziałem się od dawnego intendenta, że nowy naczelnik nazywa się Puhalko i pochodzi z Połtawy.

Po przebraniu się, otrzymałem nowe ubranie, kołdrę, poduszkę ręcznik.

Posadzono mnie do pojedynek. Na drugi dzień zjawił się do mnie nowy naczelnik więzienia. Średniego wzrostu, dość otyły, o sympatycznej twarzy, mówił ze mną krótko, w tonie przyjaznym, od niego dowiedziałem się, że jest nowy gubernalny inspektor więzień, człowiek przyzwoity.

Z ogromną ciekawością oczekiwałem ranka, aby przekonać się, jak też jest przy wynoszeniu kublów. Po porannym apelu rozpoczęło się wynoszenie, byłem mile zdziwiony, że nie słyszę krzyków dozorców i biegania więźniów. Wynoszenie kublów trwało półtorej godziny, poprzednio pół godziny. Wszyscy swobodnie mogli się myć, całkiem inny świat! Naturalnie, ani myślałem przenosić się do celi ogólnej. Naczelnik Puhałko prowadził politykę zgody z tymi więźniami, którzy wyróżniali się swoją przeszłością, był ogromnie sumienny w stosunku do wszystkich więźniów. W warsztatach pozwalał więźniom gotować mięso, zupę i różne "smaczności," które więźniowie nabywali sobie ze sklepu więziennego.

W miesiąc po moim powrocie do katorgi, zaproponowano mi pracę w celi. Tydzień pracowałem, szyjąc ze słomy na specjalnych modelach kołpaki na butelki. Praca ta była dla mnie przykra, przeto odmówiłem. Nie wywierano na mnie żadnego nacisku z tego powodu. Czytałem z całym zapałem i spokojem, nie słysząc dzikich krzyków bitych towarzyszy. Przeczytałem niemal wszystkich klasyków rosyjskich. Z ogromnem zainteresowaniem czytałem teoretyków socjalistów — rewolucjonistów: Dobrolubowa, Michajłowskiego, Ławrowa. Słynna polemika, którą prowadził Plechanow z Michajłowskim, była przedmiotem gruntownych moich studjów. Jakkolwiek byłem marksistą, niemniej zachwyciłem się tezami Michajłowskiego o roli człowieka i ludzkości w historii świata. Nieraz myślałem z pewnym żalem, dlaczego w kraju nie mamy takich miesięczników, jak "Ruskie Bogactwo," "Sowremiennyj Mir," "Naucznoje Obozrenie" i t. p.

W miesięcznikach tych były także przekłady utworów Orzeszkowej, Sieroszewskiego i innych. Czytałem pięknie napisaną pracę Michajłowskiego o Żeromskim, którego Michajłowski nazywał "piewcom stradajuszczyczech dusz." Było mi bardzo przyjemnie, gdy czytałem przychylną ocenę twórczości Żeromskiego, który należał do tych pisarzy polskich, którzy nie zgnuśniali i nie poszli na lep frazesów o "organicznej pracy" Świętochowskiego.

Prawdziwem wydarzeniem był dla nas utwór Sieroszewskiego p. t. "Wędrowcy" w tłumaczeniu Smidowicza. Takie samo wrażenie zrobiła na nas nowela Orzeszkowej p. t. "Gloria Victis," w tłumaczeniu tego samego pisarza. Słowem, żyłem jak i inni towarzysze, życiem ludzi umięjących nie tylko strzelać do sług cara, ale staraliśmy się myśleć i, co najważniejsze, uczyliśmy się. Niestety, takich, którzy chcieli się uczyć, pośród Polaków było stosunkowo niewiele.

Czas upływał dość szybko w ciągu dnia, z nocami było gorzej: wyczerpanie poprzednie zrobiło duże szcerby w mojej psychice. Trapiła mnie bezsenność prawie stale.

WYBUCH WOJNY — REWOLUCJA — UPADEK CARATU.

Szybko minął rok 1913. W zmienionej atmosferze rozpoczęliśmy 1914 rok, miesięczniki, które otrzymywaliśmy, zwiastowały nową erę w historii. Około 10 czerwca 1914 roku władze więzienne otrzymały zlecenie przygotowania 600 nowych miejsc dla więźniów, którzy przyjadą z Warszawy. Zaczął się ruch nie do opisania. Prawie wszystkich przeniesiono do ogólnych cel, mnie z kilkoma towarzyszami zatrzymali w pojedynkach.

W trzy tygodnie potem przybyła do katorgi orłowskiej ogromna masa Polaków z Warszawy i innych miast. Tymczasem wojna rozpoczęła się . . .

Wśród więźniów zapanowało ogromne ożywienie; naczelnik więzienia pozwolił nam zaprenumerować dwie gazety: "Russkij Inwalid" organ Sztabu Jeneralnego i "Prawitielstwiennyj Wiestnik." W obydwach tych pismach ocena sytuacji politycznej strategicznej, była tendencyjna, ale przebieg akcji wojennej, mieliśmy w 75 procentach prawdziwy.

Rosja w dość krótkim czasie wystawiła ogromną armję, liczącą 10 milionów żołnierzy. Koszta utrzymania armji w początkach wojny wynosiły 8 milionów rubli dziennie a w końcu wojny wydatki dzienne na cele wojny wynosiły już 50 milionów rubli. 80 procent przemysłu w całym państwie służyło wojnie. W miarę przedłużania się wojny, ekonomiczne siły Rosji z każdym dniem słabły

W naszych oczach odbywały się zmiany na gorsze, już w drugim roku wojny dla ochrony więzienia przychodzili starzy rezerwiści, uzbrojeni w dawno wycofane z armji berdanki. W katordze więźniowie podzielili się na dwie grupy. Polityczni nie ukrywali, że pragną, żeby car Mikołaj II wojnę przegrał, albowiem przegrana wojna prowadzi w prostej linii do rewolucji. Kryminaliści w ogromnej większości byli innego zdania, ich nie obchodził przyszły ustrój Rosji, oni chcieli wygranej wojny, bo jak car wojnę wygra, mówili, to będzie manifest. Masami zgłaszali się na ochotników do wojska. Z katorgi zrobiono ogromną fabrykę, która pracowała na rzecz wojny. Ręczne granaty, urządzenia do szpitali, ubranie, bieliznę, buty robiono w katordze. Na początku 1915 roku udało nam się skaptować dozorcę, który przynosił do więzienia "Ruskoje Słowo." Z gazety tej otrzymaliśmy zgoła inne informacje o stanie rzeczy w Rosji. Na posiedzeniach Dumy coraz głośniej rozbrzmiewały żądania amnestji dla więźniów politycznych. Słynna rozprawa w sprawie polskiej w Dumie, kiedy poseł na Sejm, nieżyjący już obecnie Harusewicz z Klubu Narodowego prosił rząd carski o autonomję dla Polski, deklarując wierność carowi w imieniu Koła Polskiego, spotkała się z głośnym protestem

na ławach "Trudowików." Kiereński rzucił w twarz endeckiemu posłowi: "Nie autonomji żądajcie, a niepodległości!"

Rosja Romanowów zaczęła trzeszczeć w posadach.

Punktem zwrotnym w nastrojach i stosunku do cara Mikołaja, nawet u burżuazji, była sprawa Rasputina, którego zgładziła dworska kamarylla.

Na trzy dni przed rewolucją otrzymaliśmy ostatni raz gazetę "Ruskoje Słowo" w więzieniu.

Na pierwszej stronicy grubym drukiem czytaliśmy: "Tłumy demonstrantów prosto z fabryk podeszły pod Taurydzki pałac (gmach Dumy), żądając od przedstawicielstwa narodu chleba!!! Do demonstrantów wyszli deputowani Dumy, żeby z balkonu przemawiać." Potem, wiadomości urwały się zupełnie; dwa dni żyliśmy jak nieprzytomni. Instynktownie wyczuwaliśmy, że stoimy przed rewolucją, nikt nie miał odwagi głośno rzucić słowa — rewolucja wybuchła! . . . W nocy z dnia 16 na 17 marca, słyszeliśmy niezwykle ożywienie w mieście; do późna w nocy nie milkły okrzyki: hura! . . .

Nie mogę zasnąć, myśli uporczywie wybiegają za mury więzienia, wysilam się, żeby przeniknąć tajemnicę: na dole zegar bije dwunastą, jeszcze słychać okrzyki h-u-r-a! . . . Nagle otworzono moje okienko, przez które dozorca rzucił mi jakiś papier. Skoczyłem, jak kot, z łóżka, gorączkowo odkręcam papier, czytam odezwę gubernatora, który pisze — "Obywatele, wzywam was do spokoju, w stolicy mamy nowy rząd!"

A więc rewolucja — myślałem, — ogień uderzył mi do głowy, serce gwałtownie zatłukło z radości.

Do samego rana nie zmrużyłem oka, rano o godzinie siódmej zaczęło się dla nas, po tylu latach męki duchowej, nowe życie.

Otwierają się podwoje więzienia, stajemy przed niezliczonym tłumem rewolucyjnych żołnierzy, którzy na bagnietach powywieszali czerwone sztandarki — symbol zwycięskiej rewolucji. W pół godziny potem, po 10 latach więzienia, przemawiałem do niezliczonych tłumów. W dwie godziny wybrany byłem do Komitetu Wykonawczego Rady Delegatów Robotniczych, tego samego dnia powierzono mi pieczę nad więźniami w całej gubernji. Było to 17 marca 1917 r.

NA WOLNOŚCI.

Po wyjściu z katorgi ulokowano nas w wojskowym szpitalu przy ul. Bołchowskiej. Część towarzyszy — Polaków opuściła miasto, udając się w różne strony obszarnej Rosji. Część zaś, pomiędzy nimi towarzysz Prystor — została w Orle. Pierwszy dzień żyliśmy w jakimś zaczarowanym świecie; na drugi dzień każdy z nas musiał postawić sobie pytanie: co robić dalej?!

Przez szereg lat vegetowaliśmy, oderwani od życia, rewolucja dała nam wolność, nie dając nam środków do życia. To też każdy

endecy. Pierwszy wiec "wygnańców," zwołany przez miejscowy Komitet P. P. S., był naszym triumfem.

W czerwcu 1917 r. wyjechałem na pierwszą konferencję P. P. S. w Rosji, do Petersburga. Na konferencji tej powzięto szereg uchwał dość ogólnikowych. W każdym razie konferencja ta przyczyniła się do organizacyjnego skoordynowania wszystkich sekcji.

Po wyjeździe tow. Prystora zostałem przewodniczącym miejscowej sekcji.

Po przyjeździe z konferencji zostałem wybrany, jako przedstawiciel P. P. S., do prezydium Rady Delegatów robotniczych i żołnierskich w charakterze wiceprezesa. Prezesem Rady był mieńszewik Pierewierzew, człowiek ogromnie sympatyczny i wykształcony. W tym mniej więcej czasie poznałem tow. Kowalewa, który wchodził do wydziału wykonawczego Rady, jako delegat sekcji żołnierskiej jednego z pułków piechoty.

Wystąpienie carskiego generała Krasnowa przeciwko Rządowi Tymczasowemu postawiło na nogi cały nasz garnizon, który znajdował się pod wyłącznym wpływem Rady Delegatów. Od samej rewolucji w Orle przedstawiciele Rady Delegatów objęli faktyczną kontrolę nad całym życiem administracyjno — wojskowym. W innych miastach toczyła się cicha walka pomiędzy organami Tymczasowego Rządu, a Radami Delegatów — w Orle urządziliśmy się inaczej, tworząc fakty dokonane. To też nikomu do głowy nie przychodziło, żeby uwolnić się od kontroli Rady Delegatów.

Naczelnem hasłem całej Rady Delegatów była walka o rycie zwołanie Konstytuanty.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że dualizm władz długo trwać nie może, tembardziej, że coraz wyraźniej zarysowywała się ogromna różnica pomiędzy bolszewikami a socjalistami rosyjskimi.

Po nieudalnym bolszewickim "puczu" w lipcu, w Petersburgu i Moskwie jeszcze bardziej zaostrzyła się walka pomiędzy bolszewikami a socjalistami. Charakterystyczny był fakt, że wszyscy robotnicy w Orle — przeważnie kolejarze — byli pod wpływami mieńszewików, żołnierze zaś pod wpływem bolszewików. Zjawisko to było naturalne, gdy się zważy, że wojna była tą zmorą, która dusiła w równej mierze przed i po rewolucji ludność. Na agitację bolszewicką podatni byli żołnierze znacznie więcej, niż robotnicy.

We wrześniu wytworzyła się taka sytuacja, że obie strony zgodziły się na to, żebym ja, jako P. P. S-owiec, objął przewodnictwo Rady Delegatów. Nie ukrywam, że sympatje moje w tym momencie były po stronie bolszewików, którzy wyraźnie wówczas stawiali sprawy narodowościowe, mniejsza o to, czy robili to szczerze, czy też nie. Jako przewodniczący, starałem się być bezstronny, łączyła mnie osobista przyjaźń z całym szeregiem mieńszewików i eserowców aż do mojego wyjazdu do kraju. Bolszewików, z wyjątkiem jednego (Andrejewa), nie lubiłem i osobistej przyjaźni nie żywiłem

do nikogo. Ba, nawet za różne łajdactwa pakowałem do kryminału. Po przegranej ofensywie Kiereńskiego ruch bolszewicki rósł w niebywałą siłę aż doszedł do drugiej rewolucji, zwanej Październikową.

KIJOWSKA KONFERENCJA P. P. S.

W dniu 25 października (według starego stylu) drugi wszechrosyjski Zjazd Sowietów w Petersburgu rozpoczął obrady w momencie, gdy walki toczyły się na ulicach stolicy. Atmosfera walki z ulicy przeniosła się do sali obrad. Bolszewicy znakomicie wyyskali rewolucyjną sytuację. Odnosiło się wrażenie, że wybuch drugiej rewolucji ściśle był związany z datą Zjazdu. Mniejszewicy i prawi eserzy, będąc w mniejszości na zjeździe, zmuszeni byli opuścić salę obrad. Wyjście mniešzewików i prawych eserów ze Zjazdu nie wpłynęło na tok obrad. Przeciwnie, wyjście tych dwóch socjalistycznych partyj w liczbie 51 delegatów na ogólną liczbę 676, większość Zjazdu potraktowała, jako "kontrewolucyjny wybryk."

Druga rewolucja, prowadzona przez bolszewików, w zgodzie z lewymi eserami i anarchistami, była przez wzmiankowany Zjazd zalegalizowana, podobnie, jak przewrót majowy przez Sejm Rzeczypospolitej polskiej.

Po uroczystym proklamowaniu, że "władza należy do robotników, chłopów i żołnierzy," Zjazd następnego dnia zakończył swe obrady.

Walka "o pełnię władzy dla sowietów" ze stolicy przeniosła się do Moskwy. Na ulicach Moskwy walki zacięte trwały cały tydzień. Oryginalne to były walki. W obronie hasła: "cała władza dla sowietów" stanęli wszyscy niemal żołnierze, którzy pod dowództwem podoficera Murałowa walczyli, jak lwy, z dobrze wyćwiczonymi oddziałami szkoły oficerskiej i z oficerami.

Zwyciężyli żołnierze, którym bolszewicy rzucili hasła rewolucji społecznej. Po zakończeniu walk w Moskwie, bolszewicy z początkiem listopada rozpoczęli walkę o zdobycie Kijowa. Walczyły ze sobą trzy grupy. Na czele bolszewickiej grupy stał Piatakow, który zmierzał do opanowania Kijowa dla władzy sowieckiej. Sprowadzone z południowo-wschodniego frontu pułki czeskie walczyć miały w obronie rządu Kiereńskiego. Oddziały szybko tworzącej się armji ukraińskiej zmierzały do wyparcia i jednych i drugich, w celu zdobycia Kijowa, jako stolicy Niepodległej Ukrainy. W czasie tych walk obradowała II-ga Konferencja P. P. S. Obradowała w atmosferze walk ulicznych. Cała sympatja nasza, jako mniejszości polskiej, była po stronie Ukraińców.

W sprawie ukraińskiej konferencja zajęła jasne stanowisko, któremu dał wyraz na Centralnej Radzie Ukraińskiej delegat konferencji, tow. Korsak (późniejszy wojewoda kielecki). Centralna Rada zastępowała ukraiński Sejm.

P. P. S. przez usta tow. Korsaka popierała szczerze dążenia Ukraińców do stworzenia państwa ukraińskiego. Na Centralnej

Radzie głos naszego przedstawiciela poza Ukraińcami był odosobniony.

Stanowisko nasze było zgodne z uroczystym proklamowaniem przez Radę Komisarzy Ludowych "prawa narodów do stanowienia o sobie."

W sprawie przewrotu stwierdzono, że przewrót został dokonany przez partje rosyjskie (bolszewicy, lewieserzy i anarchiści), że w chwili obecnej, kiedy mamy fakt przewrotu dokonany, nie chcemy solidaryzować się z kontrrewolucją, tem bardziej, że w sprawach narodowościowych Rada Komisarzy Ludowych proklamowała uroczyście prawo stanowienia o sobie podbitych narodów.

Powyższa rezolucja przeszła wszystkimi głosami obecnych przy sprzeciwie p. Sokolicz, obecnej komunistki i tow. Dewudzkiego. Wstrzymali się od głosowania tow. tow. Pużak i Domosławski.

Warto nadmienić, że duchowym przywódcą zwolenników uznania przewrotu za fakt dokonany, był tow. Libkind. Nie ukrywam, że byłem gorącym zwolennikiem współpracy rewolucyjnej z lewymi eserami i bolszewikami.

Po powrocie z konferencji, zwołałem Zjazd przedstawicieli powiatowych i gminnych sowietów, dla zajęcia stanowiska wobec przewrotu.

Zjazd był bardzo burzliwy, jednakże większością 13 głosów przyjęto formułę, uznającą nową władzę.

Przewodniczącym ponownie wybrano mnie jednogłośnie.

BOLSZEWICY U WŁADZY.

W całej Rosji urzędnicy ogłosili sabotaż przeciwko Radzie Komisarzy Ludowych. W Orle nie było żadnego sabotażu. Petrowskij, ówczesny Komisarz Ludowy do spraw wewnętrznych, nalegał na mnie, żeby rozwiązać milicję, zastępując ją czerwoną gwardją. Żądaniu temu nie podporządkowałem się, utrzymałem milicję, zorganizowaną po rewolucji marcowej. Po uporządkowaniu wszystkich spraw, wyjechałem do Petersburga, żeby porozumieć się z C. K. W. P. P. S. co do dalszej działalności. Spotkałem się wówczas w Centralnym Komitecie pomocy ofiarom wojny z późniejszym posłem komunistycznym Królikowskim, który oburzony był na przewrót; tłumaczył, że w państwie, gdzie jest 80 proc. chłopów, którzy są zwolennikami prywatnej własności, jest absurdem marzyć o socjalizmie. Po przyjeździe do kraju Królikowski został komunistą.

W Petersburgu otrzymałem instrukcje, żeby przy składaniu deklaracji politycznych w imieniu P. P. S. podkreślać dążenie nasze do stworzenia rządu rewolucyjnego, który składałby się ze wszystkich grup od trudowików do bolszewików, czyli proponowaliśmy hasło jednolitego frontu partyj robotniczych. Z całą skrupulatnością korzystałem z każdej okazji, żeby demonstrować nasze stanowisko.

Nie zamykałem oczu na los wygnańców naszych, którzy po przewrocie znaleźli się w położeniu bez wyjścia. Polityka finansowa nowego rewolucyjnego rządu była niżej wszelkiej krytyki. Hasło rzucone, zaraz po przewrocie, że władza należy do miejscowych sowietów, zrozumiane zostało przez gubernjalne sowiety w taki sposób, że w każdej gubernji, dla utrzymania państwowego aparatu, nakładano na burżuazję kontrybucje. O płaceniu podatków mowy nie było, trzeba było uciec się do jedynego środka — kontrybucji.

Z sum kontrybucyjnych przekazywałem poszczególnym komitetom wygnańczym pieniądze na prowadzenie internatów, ochron i szkół. Nie potrzebuję pisać, że ciężar opieki nad wygnańcami musieliśmy wziąć na siebie. Narodowi demokraci, którzy czerpali za dawnych rządów pieniądze w chwili krytycznej dla mas wygnańczych, usunęli się. Komitet miejscowej Sekcji P. P. S. stworzył nowe władze wygnańcze; rozpoczęliśmy przerwana pracę dla dobra wygnańców.

Pomimo ogromnej pracy, jaka na mnie spadła, ani na chwilę nie usuwałem się od polskich organizacji społecznych.

Rzucone przez bolszewików hasło: "ziemia dla chłopów," było sygnałem do ucieczki chłopów z pola walki, chociaż formalnie wojna trwała jeszcze. W tym momencie, kiedy Trocki rzucił w Brześciu Niemcom i Austriakom formułę "ani wojna, ani pokój," armji — w ścisłym znaczeniu tego słowa — Rada Komisarzy Ludowych nie miała.

Ogromne masy ciągnęły z zachodu na wschód z bronią w rękach po ziemię do swoich wsi. Wielka armja rozpełzła się w krótkim czasie. Niemcy bez żadnej przeszkody mogli posuwać się w głąb Białorusi, zajmując Mińsk, Połock i Orszę.

Zawarty pokój w Brześciu przyjęty został przez wszystkie socjalistyczne partje mniejszości narodowych z ogromnem oburzeniem. Bolszewicy pod wpływem strachu poszli na kapitulację, rzucając do kosza wzniosłe hasła o samookreśleniu narodów. Po Brześciu stanowisko nasze uległo zmianie. Godność prezesa sowietu złożyłem, pozostając jednak w Komitecie wykonawczym.

Po podpisaniu pokoju Brzeskiego z zachodu napłynęło do Orła mnóstwo Łotyszów i Żydów. Orzeł, gdzie faktycznie rządaliśmy, zmienił się w parę dni nie do poznania.

Bandy rabusiów grasowały po mieście, grabiąc spokojnych obywateli. Przewodniczącym sowietu wybrany został Łotysz, Wiskind, człowiek niezmiernie ograniczony, lecz okrutny. Krwiożerczy był to demagog, ludność bez różnicy przekonań nienawidziła go całą duszą. To też, gdy rozpoczęły się walki nad Wołgą z oddziałami czecho-słowackimi, walki, które napawały obawą Radę Komisarzy Ludowych, a gdy Kazań wzięli Czesi, pan Wiskind z innym komunistami postanowili dokonać podziału złota w Banku Państwa. Na przeszkodzie do podziału stałem ja, jako człowiek, który podpisywał asygnaty. Postanowili zaprosić mnie na poufne posiedzenie gubernjalnego Komitetu Komunistycznej Partji; na

posiedzenie to przybyłem, ale gdy dowiedziałem się, o co tym panom chodzi, powiedziałem, że pieniądze, które są w Banku Państwa, należą do Państwa, jeżeli nastąpi pogorszenie sytuacji na froncie, to pieniądze wraz z majątkiem będą ewakuowane w bezpieczne miejsce. Jednocześnie zawiadomiłem ich, że w tej chwili idę do aparatu "Hughes'a" i powiadomię o tych zamiarach Lenina.

Oświadczenie moje wywołało konsternację. Wogóle wtym czasie napływały do urzędu, który piastowałem, w dużej ilości depesze o tem, że to w jednym, to w drugim miejscu skradzione zostały pieniądze. Powódź depesz była tak wielka, że nie zastanawiano się nad tem, kto ukradł, tylko "ile ukradł."

O chwilach tych często myślę z goryczą. Muszę z dumą powiedzieć o naszych towarzyszach, że byli przykładem dla miejscowej ludności. Najważniejsze stanowiska, szczególnie tam, gdzie były pieniądze, obsadzałem przez naszych towarzyszy, nie miałem ani jednego wypadku, żeby ktokolwiek z towarzyszy P. P. S-owców zrobił krok nieetyczny. Po zlikwidowaniu "awantury Czecho-Słowaków" zapanował względny spokój, czas ten wyzyskałem na objazd powiatowych sowietów. Objężdżając ogromny obszar automobilem, widziałem spustoszenia na wsi; nie było ani jednego wypadku, żeby choć jeden dom obszarnika został cały — wszystko spalone. . . .

Straszliwy widok: sterczące kominy przypominały, że były tu do niedawna piękne gmachy.

Gdy patrzyłem na ten dziki wandalizm, próbowałem wyjaśnić sobie, dlaczego w ten sposób "przeprowadzano reformę rolną" w Rosji. W rozmowach z chłopami, otrzymywałem odpowiedzi, że przynajmniej wam, towarzysz, rację, że w domach tych mogliśmy porządkować szkoły, ochrony, kluby i t. d., ale ci — tu wskazywali palcem na sterczące mury — tyle nam i naszym dziadom w ciągu długich lat narobili krzywdy, że nie mogliśmy wytrzymać — "niech po nich ślad zaginie," mówili z okrucieństwem w głosie! . . .

Straszne uczucie, a jednak, gdy wyjechałem w pola i myśli skierowałem do literatury rosyjskiej, szczególnie do Gleba Uspieńskiego, znanego pisarza rosyjskiego, który krwią serca pisał o straszliwej krzywdzie chłopów rosyjskiego, zacząłem rozumieć ich, gdy mówili "człob po nich paminu nie było." . . .

W OBRONIE AUTORYTETU WŁADZY REWOLUCYJNEJ.

Lewi eserzy nie potrafili znaleźć wspólnego języka z bolszewikami, w sprawie "haniebnego pokoju w Brześciu". Po ratyfikacji Brzeskiego pokoju na IV nadzwyczajnym Zjeździe Sowietów, lewi eserzy odwołali swoich przedstawicieli z Rady Komisarzy Ludowych, zaczęła się pomiędzy lewymi eserami a bolszewikami nieubłagana walka. Lewi eserzy rozpoczęli namiętną agitację w wojsku, wzywając resztki tych wojsk do powstania przeciwko

najeżdźcom niemiecko — austriackim. Pomimo wyteżonej akcji agitacyjnej, nie mogli jednak wywołać poważniejszych rozruchów powstańczych. Na V lipcowym zjeździe walka lewych eserów z bolszewikami doszła do zenitu.

Po burzliwym posiedzeniu na którym tow. Spirydonówna groziła bolszewikom "rewolwerem i bombą", bolszewicy zmuszeni byli do bardziej stanowczych kroków, tem bardziej, że lewi eserzy przenieśli walkę z sali obrad na ulicę.

Na kilka godzin udało się lewym eserom stworzyć poważny zamęt w Moskwie, aresztowany był nawet przez nich Dzierżyński.

Bolszewicy, opierając się na wiernych oddziałach lotewskich strzelców, rewoltę stłumili.

Po opanowaniu sytuacji, bolszewicy rozpoczęli rozbrajać lewych eserów, wywołując rozłam wśród nich, co się częściowo im udało. Po rewolcie lewych eserów, bolszewicy objęli władzę w swoje wyłączne ręce. Z hasła: pełnia władzy dla sowietów, które to hasło rozumiane było jako wyraz wspólnych wysiłków tych grup i partyj, które stały na gruncie przewrotu październikowego, powstało nowe hasło: pełnia władzy dla bolszewików!

Taki obrót rzeczy, nas—PPS-owców, postawił w dość kłopotliwym położeniu. Po ustąpieniu lewych eserów z sowietów, zostaliśmy sam na sam z bolszewikami. Musieliśmy się zastanowić, co dalej robić. W parę dni po tym fakcie do Orła zjechała jakaś liczna banda, świetnie uzbrojona, której przewodził niejaki Suchonosow. Banda Suchonosowa tytułowała się "Sztabem do walki z kontrrewolucją i sabotażem". Po zjawieniu się jej w mieście zapanowały dzikie stosunki. Suchonosow, wbrew komitetowi wykonawczemu wprowadził stan obłędzenia i rozpoczął po nocach "rozbrajać burżuazję". Po takim "rozbrojeniu", które odbywało się w nocy, do Komitetu Wykonawczego napływały liczne skargi od ludności na samowolę i zwykły rabunek.

Po tygodniu tej "strategicznej operacji" ogromna większość mieszkańców, została formalnie ogołocona ze wszystkiego. Stan taki nie mógł długo trwać. Szanująca się władza musiała pomyśleć o bezpieczeństwie ludności miasta. Odbyło się poufne posiedzenie prezydium gubernjalnego Sowietu, w gmachu komisariatu do spraw cywilnych (dawny urząd gubernatorski). Komisarzem do spraw cywilnych, po złożeniu godności przewodniczącego, byłem ja. Posiedzenie dlatego odbyliśmy w biurze, gdzie urzędowałem, gdyż nie byliśmy pewni, czy Suchonosow nas nie przyaresztuje.

Na tem posiedzeniu postanowiliśmy rozpocząć walkę z bandą Suchonosowa. Dowództwo objął komisarz do spraw wojskowych Siemaszko. Cóż, kiedy do naszej dyspozycji było zaledwie 150 żołnierzy i 50 uzbrojonych cywilów, z których 30 było PPS-owców. Pozatem mieliśmy dwie pancerkę, dwie armaty i 4 kulomioty. Karabinów mieliśmy kozackich Kaledina, które wracały z frontu Zachodniego do okręgu Dońskiego.

Miasto podzielone na dwie równe części, dzieliła rzeka Oka. W

umówioną noc dziesięciu naszych towarzyszy pod dowództwem tow. Wojtasika — (Zagłębiak ze sprawy Zygulskiego) zajęło przeprawy przez most od strony dworca kolejowego, inny oddział, w sile piętnastu ludzi pod dowództwem tow. Czyża, zajął dworzec kolejowy. Po odcięciu Suchonosowa od pancernego pociągu, który ulokował na bocznicy, prawy brzeg miasta znalazł się w rękach prawowitej władzy. Gmachy publiczne strzeżone były przez oddział tow. Cylińskiego. Po dokonaniu tej operacji trzeba było rozprawić się z głównymi siłami Suchonosowa, które ulokowane były w jednym ze szpitali na wzgórzu. Pozycja Suchonosowa panowała nad głównymi ulicami miasta i gmachem gubernjalnego sowietu. Walka trwała 15 godzin, w rezultacie żołnierze Suchonosowa zmusili swojego "atamana" do kapitulacji, licząc, że w ten sposób uchronią swoje głowy od odpowiedzialności. W czasie tych walk zginął tow. Cieśliński i jeden towarzysz nasz został ranny. Po rozbrojeniu "żołnierzy" Suchonosowa i aresztowaniu przywódców "sztab nasz" zjawił się w kwaterze Suchonosowa.

Oczom naszym okazał się straszliwy w swojej grozie widok. Narabowane w czasie rewizyj nocnych przedmioty w ogromnym nieładzie leżały w kilku salach szpitalnych. Kosztowności, futra damskie, chirurgiczne instrumenty, chomonta — wszystko to leżało razem. Praca ludzka przez zgraję łotrów zdeptana była straszliwie! . . .

Po rozgromieniu bandy, ludność z ulgą odetchnęła. Miejscowa władza sowiecka zaś rozpoczęła energiczne kroki w kierunku stworzenia siły zbrojnej dla ochrony autorytetu miejscowej władzy i bezpieczeństwa ludności. W sekcji naszej było kilkudziesięciu wojskowych — Polaków, którzy z pismami od tow. Pużaka przyjeżdżali do Orla z różnych formacyj. Postanowiliśmy w porozumieniu z komisarzem wojskowym zorganizować z nich regularny oddział imienia Mireckiego. Komendantem oddziału wyznaczony został Polak Niwiński, komenda odbywała się w języku polskim. Zagwarantowałem sobie, że nasz polski rewolucyjny oddział nie będzie używany do walk wewnętrznych i do tłumienia rozruchów chłopskich, wówczas bardzo rozpowszechnionych. Komisarzem politycznym w tym oddziale z ramienia partji wyznaczaliśmy tow. Stanisława Bergera (członka Rady Naczelnej). Dowódca Niwiński (zdaje się, że to pseudonim) po dwóch miesiącach został zawieszony z powodu jakiejś malwersacji, o czem doniósł mi tow. Berger.

Akurat w tym czasie przyjechał do Orla, z listem od tow. Pużaka, p. Bek późniejszy minister spraw zagranicznych. Przyjąłem p. Beka z otwartymi ramionami, w mojem prywatnem mieszkaniu i po krótkiej rozmowie, zaproponowałem mu objęcie dowództwa nad osieroconym oddziałem. P. Bek propozycję przyjął i objął dowództwo. Po pewnym czasie oddział nasz w porozumieniu z Sekeją i tow. Pużakiem przesłany został do Ziarnowa na pogranicze ukraińskie. Charakterystyczne było, że oddział ten, zdaniem komisarza Gorbaczewskiego, uważany był za najpewniej-

szy; większość oddziałów wojskowych grabiła miejscową ludność i wracających do kraju wygnańców. Na specjalnej konferencji, przy udziale tow. Pużaka i przedstawicieli oddziału, ustalono, że w momencie wystąpienia Petlury przeciwko Skoropadskiemu i Niemcom, nasz oddział wojskowy miał połączyć się z Petlurą. Po przyjeździe do kraju, komunikowałem o tem ówczesnemu Naczelnikowi Państwa Piłsudskiemu na specjalnej konferencji.

Oficerów i żołnierzy, którzy przyjmowali udział w bitwie kaniowskiej, przyjmowałem serdecznie, źle było z aprowizacją, przeto rozlokowywałem większe grupy dzielnych tych żołnierzy w powiatach Orłowskiej gubernji. Wszelkim próbom werbowania wojskowych — Polaków do korpusu angielsko-francuskiego na Murmańsk, przeciwstawiłem się stanowczo. Każdy żołnierz czy oficer, jeżeli chciał jechać do kraju przez Orszę lub Żmerynkę — otrzymywał ode mnie przepustkę, która ułatwiała mu przejazd przez terytorjum republiki sowieckiej. To samo czyniłem dla wszystkich Polaków, którzy chcieli jechać do kraju. Będąc komisarzem do spraw cywilnych, miałem nieograniczone prawo wydawania kart przejazdowych kolejną i przepustek, z prawa tego korzystałem obszernie! We wrześniu przyjechali z Moskwy do Orła tow. tow. Strug, Hołówko, oraz p. Sokolnicki. W Moskwie Dzierżyński rozpoczął represję przeciwko wojskowym Polakom. Kilkunastu aresztowano, tow. Pużak zmuszony był interwenjować u Dzierżyńskiego. Pod wrażeniem represyj wyjechali nasi goście z Moskwy. Przyjąłem ich, jak tylko mogłem serdecznie, ulokowałem w najlepszym hotelu, a wieczorem zwołałem konferencję do sali konferencyjnej dawnych gubernatorów Orła. Z ust tow. tow. Struga, Hołówki i p. Sokolnickiego otrzymaliśmy informacje o tem, co się dzieje w kraju. Nie będę opisywał bezgranicznej radości, jaką nam zrobili nasi mili goście, opowiadając o kraju. Nie ukrywam, że po ich wyjeździe, ogarnęła mnie tęsknota do kraju, że nie mogłem sobie dać rady.

W miesiąc później przyjechał tow. Arciszewski z tow. Pużakiem. Tow. Arciszewski przywiózł polecenie z Centralnego Komitetu Robotniczego, żeby grupa towarzyszy udała się przez Ukrainę do kraju, gdyż potrzebni są do pracy w związkach zawodowych i kooperatywach. Tow. Arciszewski polecił mi, jako wysłannik władz partyjnych z kraju, siedzieć w Orle do 1 stycznia 1919 roku. Niestety, złamałem rozkaz, gdyż wyjechałem z Orła w listopadzie 1918 roku, zabierając z sobą resztki wygnańców z dziećmi. W międzyczasie przyjeżdżałem trzykrotnie do Moskwy do tow. Pażaka, który pracował w komisarjacie polskim i w polskiej komisji Likwidacyjnej. Tow. Pużak mieszkał z tow. Grzeczmarowskim, ten ostatni pracował, jako garbarz: Tow. Grzeczmarowski miał jakieś stosunki i dostawał chleb, kartofle i inne smaczności. W czasie mojego przyjazdu, tow. tow. P. i G. urządzali bibę gotując baraninę na maszynie. Należy pamiętać, że był to czas wielkiego głodu i braku produktów spożywczych w Moskwie i Petersburgu. Przez

naiwność przywoziłem z "urodzajnego" Orła dla nich chleb, z owsem, ale oni nie poczuli się do wdzięczności — wręcz chleba mojego nie jedli!

Po odwiedzinach tow. Arciszewskiego, przestaliśmy się zajmować sprawami ogólnej polityki, pracowaliśmy z myślą o bliskim powrocie do kraju. W ciągu roku 1918 dwa razy przyjeżdżał z Moskwy komunista Łazoweter do Orła, próbując założyć sekcję polską komunistycznej partji. Pana tego grzecznie wypraszałem z terenu gubernji Orłowskiej. Przyjmowałem również udział w obchodzie rocznicy rewolucji październikowej. W pięknie udekorowanej sali jakiegoś gimnazjum, mówiłem na temat: "Co dała władza sowietów ludowi pracującemu." Na postawione pytanie wręcz oświadczył, że — politycznie otrzymali władzę przywódcy bolszewicy, ekonomicznie klasa robotnicza pogorszyła swoją sytuację, od czasu, objęcia władzy przez Sowjety. Mowa moja peszyła bolszewików, natomiast wśród przeciwników bolszewickich przyjęta została burzą oklasków.

Po tej uroczystości radzono mi być ostrożnym, jeżeli nie chcę dostać się zpowrotem do więzienia, z którego wyszedłem.

W połowie listopada zdałem urząd swojemu następcy, urzędnicy żegnali mnie nadzwyczaj serdecznie, jak również część towarzyszy, która pozostała. Jak tylko zdecydowałem się na wyjazd, nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Rwałem się całą duszą do kraju, nie wiedząc, co będę robił i czy będę miał odpowiednią pracę zarobkową. W piękną listopadową noc opuściłem miasto wraz z gronem wygnańców. Opuściłem miasto, w którego murach więziennych spędziłem najpiękniejsze młode lata, cierpiąc głód i upokorzenie.

Opuściłem miasto — myślałem — które dało mi po 10 latach bólu i targania się pełną satysfakcję. Serce moje nie znało zemsty, po zwycięskiej rewolucji w miarę sił swoich nie pozwoliłem znęcać się nad tymi, których rewolucja powaliła, pamiętałem zawsze, że jestem polskim rewolucjonistą, któremu nie wolno być mściwym!

Rewolucja dała mi wolność i władzę, której nie użyłem nigdy dla spraw prywatnych, służyłem wiernie ludowi rosyjskiemu, który tak samo, jak lud polski, cierpiał i walczył za swoją i Naszą wolność! . . . Nie przypuszczałem wówczas, że znowu będę więziony w Polsce (rok 1930) i znowu przejdę przez więzienia sowieckie oraz syberyjskie zesłanie (w roku 1940).

DO WOLNEJ POLSKI.

Wagon, w którym jechałem na zasadzie otrzymanego dokumentu, przyczepiony został do osobowego pociągu, idącego w kierunku Smoleńska.

Po ochłonięciu z wrażeń całodziennych, przysłuchiwałem się turkotowi mknącego pociągu, myśląc o najbliższej przyszłości. W miarę oddalania się od Orła w kierunku zachodnim, myśli moje coraz

natarczywiej biegły do Kraju i moich najbliższych. Od czasu do czasu rozmyślałem nad tem, czy pieniądze, które otrzymałem tytułem odprawy, jako b. więzień polityczny, wystarczą mi na drogę. Wprawdzie otrzymałem 860 rubli, niemniej suma ta łatwo mogła stać się niewystarczająca z uwagi na trudności komunikacyjne. W dniu wyjazdu sumę tę przyznał mi Gubernjalny Komitet Wykonawczy, żebym miał za co powrócić do Kraju.

Moi towarzysze podróży, rozlokowawszy się, spożywali wicherzę. Zajęty własnymi przeżyciami, byłem bardzo, bardzo daleki od tego, co mnie otaczało. O północy wszyscy zasnęli, ulokowawszy się każdy, gdzie mógł . . . Wpatrując się w ciemności nocy, ani na chwilę nie mogłem zasnąć . . .

Wracam do Kraju po dziesięciu latach katongi, wracam do najdroższej rodziny, która przez całe 10 lat mojego pobytu w więzieniu nie miała możliwości komunikowania się ze mną. W myślach wyobrażałem sobie radość Matki mojej, gdy przyjadę do niej. Z tęsknotą wyczekiwałem chwili przyjazdu do Wilna, gdzie przebywała moja żona, która o pół roku wcześniej ode mnie wyjechała z Orła. Oto gama uczuć, które opanowały całą moją duszę. Nad ranem, oparty o ścianę wagonu, zasnąłem. Obudziłem się już w momencie przyjazdu pociągu na dworzec kolejowy w Smoleńsku. Zaledwie wyszedłem z wagonu, otrzymałem informacje, że w Niemczech i Austrii jest rewolucja, a w Polsce uzbrojone oddziały powstańców rozbrajają okupantów niemiecko - austriackich.

Jak błysk słońca, opanowała mnie niewymowna radość, radość człowieka, który długie, bezsenne noce marzył o tej pięknej chwili, kiedy lud polski z orężem w ręce przepędzi najeźdźców z kraju naszego. " Jeszcze przebywam — myślałem — na terytorjum Rosji, oddzielony jestem od kraju kordonami wojsk niemieckich," a jednak, czułem realnie, — widziałem oczyma duszy wielkie pochody na ulicach Warszawy i innych miast Polski, pochody triumfalne, które świadczyły o tem, że naczelny punkt programu naszej Partji — niezależna Republika Polska — w ogniu walk rewolucyjnych został zrealizowany! Naturalnie, daleki byłem od tego, żeby choć na chwilę przypuszczać, że w Warszawie rządzą dzikie nacjonalistyczne hece przeciwko Rządowi Ludowemu. Byłem świadkiem wielkiej rewolucji rosyjskiej, która mocarnemi dłońmi zmiotła z powierzchni życia rosyjskiego feodalizm i rosyjską burżuazję. Rewolucję widziałem triumfującą jak najcudniejszą wiosnę. Przeżyłem chwile niezwykle podniosłe, gdy rewolucyjni żołnierze otwierali bramy więzienne, wypuszczając nas, długoletnich więźniów — na wolność.

Po przyjeździe do kraju byłem szczerze zawiedziony w moich płomiennych marzeniach.

Ze Smoleńska pośpiesznym pociągami na drugi dzień wyjechałszy w stronę Orszy. Patrząc z okien wagonu, widziałem niezwykle w swoim rodzaju widowisko: torem kolejowym z zachodu na

wschód szły ogromne masy jeńców wojennych. Widok ten był pełen grozy i bólu. Obdarci, w drewnianych chodakach, z workami na plecach, szli znękani głodem ludzie, których wojna światowa wyrwała z ich domostw, rzucając na pastwę losu. Kto widział tę wędrowną ludów, kto widział tych nędzarzy obdartych, ten napewno całą siłą duszy zniechęcił tych wszystkich, którzy przyczynili się do wybuchu wojny światowej i do mordowni ludów.

W Orszy zatrzymano nasz wagon i w pierwszej chwili byliśmy powiadomieni, że za 3 tygodnie możemy być włączeni do pierwszego wyruszającego transportu, idącego w kierunku Mińska Litewskiego. Dzięki interwencji ewakuacyjnego komisarza rosyjskiego, zamiast za 3 tygodnie, przyczepiono nasz wagon do jakiegoś towarowo-wojskowego pociągu, wieczorem na drugi dzień. I tutaj także, jak na terytorjum będącym w posiadaniu rosyjskiem, ciągnęły te same masy jeńców wojennych na wschód. Nikt im nie robił trudności i nikt nie pytał, czy mają "zagraniczne paszporty" na przejście granicy.

W Mińsku Litewskim zabawiłem trzy dni. Czwartego dnia udało mi się otrzymać przepustkę od władz niemieckich i wyjechałem przez Mołodeczno do Wilna.

W Wilnie byli Niemcy. Ale władzę nad miastem sprawowała Rada delegatów żołnierskich. Pomimo nadrabiania miną, widziało się, jak żelazna dyscyplina wojsk niemieckich pryska, widziało się że pomimo zakazów, odbywają się spontaniczne zgromadzenia, proletarjat będący w podziemiach za okupacji, wychodzi na powierzchnię życia i tworzy własne robotnicze organizacje. Na jednym z tych zgromadzeń, byłem, i na niem przemawiałem do zebranych kolejarzy w imieniu P. P. S.

Po tygodniowym pobycie w Wilnie, postanowiłem jechać do Warszawy. Chciałem koniecznie być jak najprędzej w Warszawie, skomunikować się z Centralnym Komitetem Robotniczym, a później choć na parę dni pojechać do rodziny.

Otrzymałem przepustki na wyjazd z Wilna do Łap i w towarzystwie tow. Wiktora Weisła, udaliśmy się w podróż.

O kilka kilometrów od Łap znajdował się posterunek wojsk polskich. Do tego posterunku, który się mieścił przy stacji kolejowej, trzeba było iść piechotą, a rzeczy ułokować na furmankach.

Niezatarte i niezapomniane wrażenie pozostawił we mnie widok umundurowanych polskich żołnierzy.

W parę tygodni po tem, na tym samym posterunku w Łapach jacyś żandarmi czyhali na powracających działaczy, którzy przyjmowali udział w rosyjskiej rewolucji, żeby nie wpuścić ich do kraju. Niektórych bez rozgłosu mordowano. Tak został zamordowany brat Fabierkiewicza. Ta sama banda zamordowała delegację rządu sowieckiego na czele z inż. Wiesiołowskim, którego znałem z orłowskiej katorgi.

Około godziny 10-ej na jednej ze stacyj kolejowych, w drodze powrotnej w stronę Warszawy, kupiłem legalnego już "Robot-

nika". Czytając napis na "Robotniku": "Niech żyje rząd Robotniczo-Chłopski!", byłem do łez wzruszony. Z "Robotnika" dowiedziałem się o hecach nacjonalistycznych w Warszawie. Chciałem w jednej chwili lotem ptaka przelecieć przestrzeń dzielącą mnie od Warszawy, a tu, jak na złość, pociąg nasz wlecze się straszliwie powoli.

Wpatrywałem się w każdy budynek stacyjny, żeby znaleźć symbol zwycięskiej rewolucji polskiej. Napróżno! Coś zatargało wewnątrz, poczułem zawód i jakgdyby upokorzenie. A pociąg straszliwie powoli wlecze się, konduktorzy powiadają, że parę dni temu wyrwane zostały wagony i lokomotywy okupacyjnym władcom niemieckim i naprędce zorganizowana została obsługa.

Srebrna wijąca się wstęgą Wisły, jak promień szczęścia, widnieje przed oczyma naszymi. Przejeżdżamy most. Warszawa! Wychodzimy z wagonów na Marszałkowską. Ponuro, pada deszcz. Bierzemy z tow. Weisło dorożkę i udajemy się do hotelu "Wiktorja".

Okolo godz. 10-tej wieczorem wyszliśmy na miasto, żeby zobaczyć je nie z zakratowanego okienka karety więziennej. Oglądaliśmy Warszawę, jako wolni obywatele odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej. Szukam jakichś znaków, któreby mówiły o tem, że przed kilkunastu dniami odbyła się tu rewolucja, że z tego miasta wypędzono okupantów . . . Nic, ale to nic nie widać . . .

Na drugi dzień rano zgłosiłem się do Centralnego Komitetu Robotniczego. Przyjęła mnie tow. Zarembina. Polecono mi skomunikować się wieczorem z Centralnym Komitetem.

W ciągu dnia zaś udałem się do Ministerstwa Pracy, żeby zobaczyć się z tow. Prystorem, który był wice-ministrem Pracy, a po rozmowie z nim, zgłosiłem się do tow. Ziemięckiego, jako Ministra Pracy.

Wieczorem ustalono, że zostanę przyjęty do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jako inspektor administracyjny.

Na drugi dzień skomunikowałem się z tow. Barlickim, ówczesnym Wice-ministrem Spraw Wewnętrznych i Ministrem Thuguttem. Zostałem urzędnikiem Rzeczypospolitej Polskiej.

Z mego powodu, po upadku Rządu Ludowego, b. Minister Spraw Wewnętrznych p. S. Wojciechowski, miał bardzo dużo przykrości od różnych chuligańskich organizacji nacjonalistycznych. Zasypany donosy do prokuratora, a pod tymi donosami podpisywały się różne figury narodowej demokracji jak Świątkowski i Laskiewicz.

Na "donosie" do prokuratora podpisał swoje nazwisko osławiony p. Narbutt, "specjalista" od spirytusu. Nie przeszkodziło mu to zgłaszać się do mnie o interwencję w sprawie artykułów o jego osobie w "Robotniku." Zapomniał nieborak ale ja nie zapomniałem. Żałuję dziś jednego, że byłem wobec różnych osobników zbyt ludzki wtedy, gdy w rękach swoich trzymałem pełną władzę całej orłowskiej gubernji. A może lepiej, że przechodziłem z

pogardą około napaści i pracowałem, i pracuję wśród tych, których nie uważano za ludzi.

Czy mam pisać w końcu swoich wspomnień o wizycie w Belwederze u Naczelnika Państwa Piłsudskiego po powrocie do kraju? Tyle się od tego czasu zmieniło i tyle się doznało zawodu, że lepiej o tem nie wspominać.

Po załatwieniu formalności z przyjęciem mnie do pracy, wyjechałem do Ostrowca, żeby zobaczyć się z rodzicami i z rodzeństwem. Przejeżdżałem przez opustoszałe miejscowości, gdzie niegdyś tryskające życiem zakłady fabryczne podobne były do cementarzyska. Głód i nędza wyglądały z każdego domostwa robotniczego w tych okolicach. A oto pociąg podchodzi do stacji Ostrowiec. Wychodzę z wagonu w stronę kamienic fabrycznych, z bijącym sercem, czy aby zastanę żywych w domu.

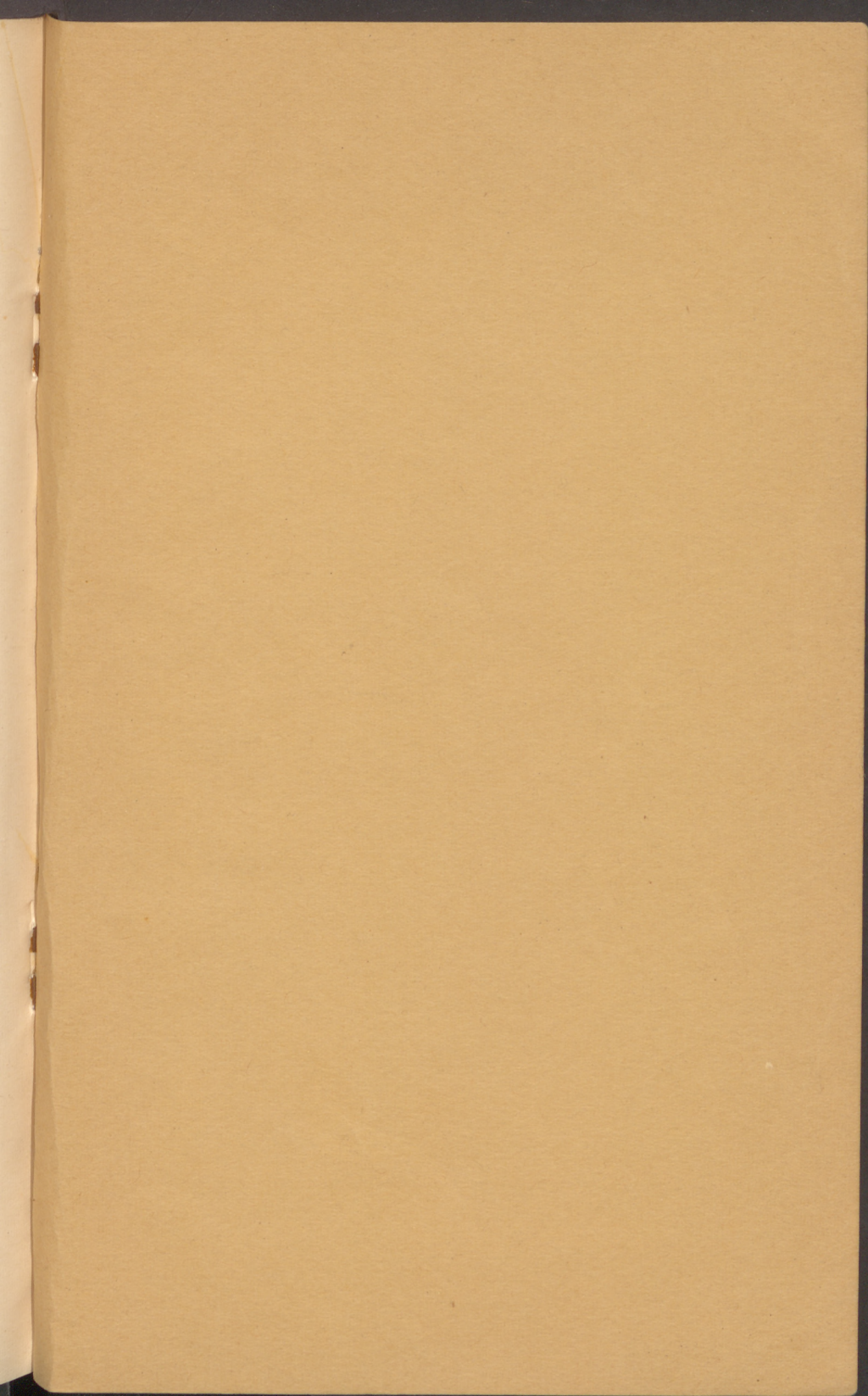
Wchodzę do kamienicy, w której mieszkali rodzice. Pytam, gdzie mieszkają? Wskazują mi to samo mieszkanie, w którym mieszkali, gdym opuszczał dom, unosząc głowę swoją przed pościgiem carskich siepaczy. Pukam do drzwi, otwiera mi Matka. Okrzyk radości, podobny do łkania, wyrwa się z jej piersi.

K O N I E C

Biblioteka Główna UMK



300050333673



Arch. Emigracji

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

1378303

Biblioteka Główna UMK



300050333673

Cena 3/6